M.B. im. L. W. Łódź

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 6 lipca 1958 r. Cena 1 zł nr 19

Za chwilę start!

5 ŚMIERĆ STAREGO DZIWAKA

Reportaż Tadeusza Szewery

JACEK LEBEN

Liban. Niewiele kilometrów kwadratowych. Czterystutysięczny Bejrut, Tripoli. Kraj o cudownym klimacie, żyznych ziemiach i piaszczystych pustyniach. Liban, kraj niezwykle zróżnicowany pod względem etnicznym. Jedyny kraj Bliskiego Wschodu, gdzie mieszka większość chrześcijańska, wywodząca się jeszcze z wypraw krzyżowych. Kraj zamożny i oświecony, oaza w morzu arabskiej nędzy i ciemnoty.

Liban, kraj kupców. Co trzeci człowiek w Libanie jest kupcem. Nic dziwnego, Libańczycy są to przecież potomkowie dawnych Fenicjan, którzy osiedli w miejscu jak gdyby stworzonym do handlu. Przechodzą tędy rurociągi naftowe, wielkie szlaki handlowe wiodące z Europy do Afryki, do Azji, na cały Bliski Wschód. Libańczycy handlują wszystkim — naftą i drzewem, samochodami i narkotykami, nylonem i żywym towarem.

Przez Liban przepływają rzeki towarów, osiadają w Libanie miliony dolarów. Nic więc dziwnego, że co siódmy mieszkaniec Bejrutu ma samochód, a piękne masywy górskie wokół Bejrutu migocą w nocy światłami okien tysięcy luksusowych willi.

Liban, jedyny chyba na świecie kraj, gdzie władza sprawowana jest według klucza religijnego. Stan ten wytworzyła utrwalana od wieków konieczność współżycia dwóch wielkich wspólnot religijnych — chrześcijańskiej i muzułmańskiej. Chrześcijanie stanowią podobno 51 proc. mieszkańców Libanu, dlatego prezydentem tego kraju może być wyłącznie chrześcijanin — Maronita. Ale muzułmanie mają więcej dzieci, zachodzi więc ewentualność, iż w najbliższych latach uzyskają przewagę.

W Libanie istnieją trzy uniwersytety: francuski Uniwersytet Saint-Joseph, założony przez jezuitów. Wykładają w nim jednak świeccy profesorowie, a studenci otrzymują dyplomy państwowe. Dalej Uniwersytet Amerykański oraz Narodowy Uniwersytet Libański, arabski. Te trzy uniwersytety stanowią jak gdyby symbol Libanu. Niezwykle silne więzy kulturalne, ukształtowane przez historię, łączą ten kraj z Francją. Amerykańskie pożyczki, rzeki amerykańskich towarów, gangsterskie filmy, samochody wszystkich amerykańskich marek na ulicach — słowem „nowoczesny styl życia". Z drugiej strony — teraźniejszość większości mieszkańców tego kraju, a zwłaszcza ich przyszłość należąca do potężnego Islamu z wielką Arabią. Liban — kraj w tymże amerykańskim stylu zwany coctail Wschód — Zachód".

str. 10

Plac Armat w Bejrucie — *Foto — CAF*

Emocje i marzenia. Gienek! Jak dorośniesz, chciałbyś jeździć na wyścigach?

AUTO MOTO-SPORT czy zabawa i karnawał?

Tekst i zdjęcia WACŁAW BILIŃSKI

W dzieciństwie byłem kibicem sportu motorowego. Dobrze pamiętam atmosferę niecierpliwego wyczekiwania: jeszcze tydzień, jeszcze dwa dni, już jutro... A potem nastawiało się budzik na czwartą rano, choć przecież i tak grzmot motorów wszystkich spędzał z łóżka. Leżałem na parapecie okna, za kołnierz trzymała mnie druga w naszej rodzinie entuzjastka sportu motorowego, moja ciotka, patrzyłem, pokrzykując z emocji, z wysokości trzeciego piętra, jak dnem głębokiego wąwozu ulicy przelatywały kolorowe maszyny. Mój Boże, jaką magię miały dla mnie nazwiska zawodników: Carraciolla, Stuck... Jak romantycznie brzmiały nazwy wozów: Hispano-Suiza, Austro-Deimler, Lancia.

Szukałem smaku tych niezapomnianych przeżyć na lotnisku w Lublinku. Huk motorów był podobny i podobne były emocje. Na szerokim pasie startowym małe srebrne samochodziki przelatywały z szybkością, jaka chłopakom, obserwującym wyścig przez olbrzymią lornetę, wydawała się zawrotna. Sami mi to powiedzieli.

Z rozmów z kibicami-fachowcami wyniosłem jednak wnioski smutne. Oto one:

Wyścigowe samochody, któreśmy widzieli, stanowią niemal cały tabor, jakim dysponują polscy zawodnicy. Bardzo różne kształtem, noszą one wszystkie

Nasza stała rubryka: oto, co nam się najbardziej podobało albo zauważyliśmy ze samochody dziatają na piękne panie, jak magnes.

Tempo, tempo: ostatnie okrążenie!

str. 3

Nasza szkółka

TYSIĄCE „DNI", MILIONY „DNI"...

Szanowne Uczennice, drodzy Uczniowie, i Wy, o reszto Czytelników. Nie będzie to największym z dokonanych odkryć naukowych, jeśli rzeknę, że rok ma 364 dni. Wypełnię więc zadania naukowe zaplanowane przez PAN dla belferskiej braci oświadczając, iż w Polsce rok ma kilka tysięcy „dni". (Dokładne ich policzenie nastąpi po przydzielaniu Belfrowi odpowiedniej ilości etatów).

Życie każdego z nas dzieli się na dni. Życie kraju naszego kochanego zaś na

„dni", a to na „Dni" Krakowa, Straży Pożarnej, Łowicza, PCK, Opola, Łomży, Dziecka, Matki, Solidarności, Zaduszne, Walki, Oświaty, Książki, Prasy tudzież tysiąc innych.

Kto widział i pamięta ów dzień (i „dzień"), kiedy przez Praszkę przejechały beczkowozy, na nich zaś dufni mistrzowie motopompy w lśniących kaskach, ten wie, ile radości, chwil wzniosłych i górnych dają nam nasze ukochane Obchody, ile przynoszą ze sobą wzruszeń i jak doskonale pobudzają wzniosłe uczucia.

„Dni" bywają związane albo z jakąś organizacją, instytucją, czynnością (walką, nauką, pracą) albo z miejscem, tj. miastem, miasteczkiem, miasteczuńkiem. Ostatnio modne są szczególnie te ostatnie.

By zrobić miastu „dni" potrzebny jest pretekst. O ten nie trudno. Każde miasto, miasteczko, a nawet zgoła osada kiedyś powstało. Co roku jest więc rocznica takowego powstania. Więc dawaj — obchodzik. A kiedy już zupełnie nie wiadomo czy i kiedy dana miejscowość powstała, to w najgorszym wypadku została za to na pewno przed kilkunastu laty wyzwolona.

Pretekst już mamy. Co się dzieje dalej?

Zaprezentuję to Wam, moi drodzy, na chlubnym przykładzie ot malutkiej, ale pomysłowej Łomży.

Sobota, 21 czerwca

O „Uroczysta sesja Powiatowej i Miejskiej Rady Narodowej. Temat obrad: program rozwoju gospodarczego i kulturalnego powiatu.

O Otwarcie wystaw: regionalnej, urządzonej przez Muzeum Łomżyńskie: Cechów i Powiatowego Domu Kultury.

O Przekazanie do użytku nowej stacji benzynowej i linii wysokiego napięcia do Starej Łomży.

Niedziela, 22 czerwca

O Zbiórka społeczeństwa na Placu Zambrowskim o godz. 9,30 następnie przemarsz na Plac Zegilckiego i uroczysty wiec.

O Odczytanie aktu lokalizacyjnego z roku 1418.

O Odsłonięcie tablicy pamiątkowej przy akompaniamencie hejnału miasta Łomży.

O Wręczenie sztandaru Hufcowi ZHP.

O Na stadionie: powitanie 150-osobowej grupy kolarzy z Warszawy, zorganizowanej przez Komitet Dzielnicowy ZMS-Praga.

O Dwa mecze piłki nożnej: Szczuczyn—Łomża i LKS (Łomża)—Gwardia (Białystok).

O Na nowej estradzie: występy zespołu kurpiowskiego z Kadzidła i zespołu „Kurpie Zielone" z Białegostoku.

O Teatr im. A. Węgierki wystawi „Wesele" Wyspiańskiego.

O Zabawa Ludowa.

Poniedziałek, 23 czerwca

O O godz. 12 uroczyste otwarcie automatycznej centrali telefonicznej.

O Na nowej estradzie po południu występy zespołów artystycznych, zespołu z Wojciechowicz oraz teatru „Wigraszek" z Suwałk.

Wtorek i środa, 24 i 25 czerwca

O Po południu na nowej estradzie występy zespołów artystycznych, szkół łomżyńskich.

O Na stadionie rozgrywki sportowe.

Czwartek, 26 czerwca

O Po południu występy zespołów łomżyńskich i artystów z całego kraju i widowisko „1000 lat wiosny Łomży".

O obchodach w następnych dniach, napiszemy oddzielnie.

(„Gazeta Białostocka")

Wasz Belfer zamierza wkrótce przeprowadzić głębsze studia terenowe nad głębszym sensem takich „dni" w miasteczku Augustowie. Bo jak donieśli mu filmowcy łódzcy „kręcący" tam, to znaczy teren ten penetrujący, Augustów sposobi się do zorganizowania czterechsetlecia. Miasteczko to, acz zacne i ładnie położone, cierpi na kilka braków: na brak mieszkań, na brak kanalizacji, na brak sensownej gospodarki leśnej i rybnej i... na brak ratusza. Zlikwidowanie owych braków wymaga jednej tylko, acz trudno osiągalnej na tym świecie rzeczy: pieniędzy. Pieniędzy jako takich lub jako kredytów nie ma, nie dają, nie zaplanowane, skromne możliwości. Zamienia się więc zwykłe powiatowe miasteczko w dostojnego jubilata. Wszak dla dostojnych jubilatów pieniądze zawsze się u nas jakoś wynajdzie.

Więc — jak Belfrowi dokumentnie rzecz zreferowano — ojcowie rzeczonego grodu udają się do stolicy, gdzie wynajdują dostojnika państwowego, który chcąc nie chcąc obejmuje honorowy patronat nad uroczystościami. Najlepiej znaleźć takiego, który stamtąd pochodzi, „krajana". Honorowość patronatu stwarza u niego pasję, zwaną punktem honoru, by obchód wypadł jak najokazalej. Martwi się tedy o zdobycie nadzwyczajnych funduszy, zaś ojcowie miasta sposobią tymczasem strażacką orkiestrę dętą do występów.

Rzecz rozciąga się na maksymalnie wiele dni i tym sposobem mieszkańcy mają wiele „dni" godziwej a podniosłej rozrywki, zaś miasto (czego mu Belfer lubiący higienicznie spędzać urlop z całego serca życzy), kanalizację, nowy jakiś dom, a nawet... absolutnie zabytkowy ratusz made in 1958.

Belfrze, który urządzasz sobie beczkę śmiechu, czyżeś jest przeciw „dniom"? — zapytacie, Wy, zgorszeni Uczniowie.

O, wprost przeciwnie, mili. Jestem ich gorącym entuzjastą. I jedno, co mnie boli to to, iż nie ma jeszcze Dni Łodzi. Urządźmy je czym prędzej! A potem dni Piotrkowskiej, Zgierskiej, Franciszkańskiej, Dni domu nr 17 przy ul. Kilińskiego, Dni mieszkania Belfrowego. Wyszukujmy pułki całe honorowych patronów i twórzmy coraz to nowe chóry dziecięce i orkiestry strażackie. Róbmy wszystko, jeśli tylko z tego jublu powstanie chociażby kawałek nowego domu, łata na chodniku, nowy klozecik, albo ze dwa autentyczne zielone drzewka.

Do dzieła, Obywatele! Do dzieła, mieszkańcy kraju, w którym rok na tysiące „dni" jest podzielon!

Wzywa was ojczyzna, miasto rodzinne i

BELFER

PROWINCJA SIĘ BUDZI

WŁODZIMIERZ S. MAREK

Zadanie podjąłem wielce ukontentowany. Wszakże znów przyjdzie mi pisać o tych wspaniałych ludziach, o heroicznych redaktorach z otępiałych partykularzy, zabitych tęgimi dylami nieuctwa, niewiary i zabobonu, a przy tym jakże bliskiego i swojskiego światka. Cieszyłem się na te spotkania.

Kontent byłem mocno z tego zadania i w drogę, a potem za pióro. I właśnie kiedy chwyciłem za pióro przeszło mi trochę. Może nawet nie dlatego, że nie wszyscy oni jednacy, a o odważnych znowu trochę trudniej. Nie. Nawet nie dlatego. Zbiła mnie trochę z pantałyku ostatnia wizyta w „Ziemi Łęczyckiej", a właściwie występ na jej łamach „Jana Burego", który już po wizycie tej nastąpił (vide „Ziemia Łęczycka" nr 5/366 1-31. V. 58). Bo oto na posiedzeniu kolegium „Ziemi Łęczyckiej", na które byłem poproszony, mówiono o krytyce. Wydaje mi się, że poniektórzy redaktorzy, jak np. Jan Bury, chcieli usprawiedliwić dotychczasową w tym względzie impotencję „Ziemi Łęczyckiej". Próbowali oni szufladkować krytykę, której jeszcze, nota bene, zupełnie nie uprawiają. Czy dlatego, aby sobie zapewnić aprobatę ze strony sekretarza KP? Chyba nie, przecież z rozmowy z nim wywnioskowałem, że właśnie i on ubolewa na tę, jedyną zresztą, słabą stronę łęczyckiej gazety...

Zostawmy jednak tę sprawę. „Ziemia Łęczycka" jest przecież pismem zasługującym ze wszechmiar na uwagę. Jedenaście numerów miesięcznika to już wspaniały dokument kronikarski. Zaraz widać, że w gazecie rej wodzą historycy. Całe koło Polskiego Towarzystwa Historycznego tam siedzi..

A teraz garść informacji o „Ziemi Łęczyckiej". Miesięcznik jest wznowieniem przedwojennego tygodnika o tej samej nazwie oraz kontynuatorem pracy podjętej przed kilkoma laty przez redaktorów „Expresu Łęczyckiego" i gazety górników „Zagłębie Łęczyckie".

Tak więc „Ziemia Łęczycka" wychodzi już 26 rok. Łącznie 366 numerów. Format „Odgłosów", podobny zresztą układ i czcionka. Stron 8-16, nakład 4.000, sprzedaż około 3 tysięcy, cena zł 3, a więc nie najtaniej. Redaktorem „Ziemi Łęczyckiej" jest Mieczysław Cieniak. Nazwisk składających się na ciało kolegialne nie można cytować ze stopki. Za dużo tam martwych dusz. Najwytrwalszymi redaktorami okazali się: Jan Kurasiński (od paru lat przed wojną), Stefan Pełka, Adam Bednarek, Jerzy Tynecki, Władysław Zarachowicz, Bolesław Dziekan, Stefan Rociak, Feliks Tarczyński. Grafiki dostarcza redakcji pan Antoni Klein — w cywilu inżynier z kopalni. Fotografują od wielu, wielu lat: Jan Gierliński i Zdzisław Kowalczyk. Wszystko to w ramach męczącej i niewdzięcznej pracy społecznej. Nie zapisuję im tego na plus, ale wiem z całą pewnością, że redaktorzy „Ziemi Łęczyckiej" — urzędnicy, humaniści, adwokaci i inżynierowie — pracują dla dobra regionu, zupełnie bezinteresownie. Nie zapisuję na plus, bowiem powinni już zorganizować redakcję na normalnych zasadach. Chociażby tak, jak to zrobili koledzy z „Życia Pabianic", „Gazety Radomszczańskiej", „Gazety Wieluńskiej" i innych...

Zanotowałem wokół „Ziemi Łęczyckiej" niepokojące zjawisko. Niechętnie odnoszą się do niej nauczyciele, a już wręcz wrogo pracownicy Muzeum.

„Ziemia Łęczycka" ma też swych możnych protektorów i mecenasów. Ci pierwsi, to sekretarze KP i KW PZPR, a mecenat nad pismem sprawuje tow. Żychliński, też z KW, ale to tak nie z urzędu, a z osobistej potrzeby. Gazetę wspomagają wierszami: Grzegorz Timofiejew i Tadeusz Chróścielewski...

* * *

„Życie Pabianic" bogato ilustrowany tygodnik społeczno-informacyjny. Format „Świata", rok pierwszy (właśnie w maju br. minęła rocznica), nakład sześć tysięcy. Zwrotów nie ma, druk dwubarwny, samowystarczalna i dobrze zorganizowana redakcja. Oto superlatywy pisma w skrócie telegraficznym.

Redaktorem naczelnym tygodnika jest pan Zbigniew Poleski, dawniej przedstawiciel „Dziennika Łódzkiego". W redakcji pracuje sześć osób. Poznajemy tam Kałużkę, Wesołowskiego, Kokocińskiego i Szumockiego. W redakcji panuje niepodzielnie młodość. Oto jeszcze jedno — niezbyt typowe dla prowincji zjawisko.

Kiedy tam przesiadywałem dosłownie urywały się telefony. Właśnie dzwonią z MRN.

— Wyobraźcie sobie, redaktorze! MO zatrzymuje teraz smarkaczy na rowerkach, żądając karty rejestracyjnej i opłaty...

— I pomyśleć — mówi redaktor Poleski. U nas w kraju cyklistów, w kraju „Wyścigu Pokoju", żąda się opłat za posiadanie dziecięcego rowerka. MRN uchwaliła opłatę w kwocie 30 zł rocznie, a teraz sami urzędnicy się wstydzą.

„Chłopcy" z „Życia Pabianic" udali się „na medal". Sami dźwigają ogromne bele papieru, sami ślęczą nad korektą, sami rysują (i to jak), sami fotografują, obiegają miasto za reklamami i piszą. Nic nie umknie uwadze zdolnych i odważnych młodych ludzi. Rubryka „Chuligani wysiadka" robi swoje. Co kilka dni zjawi się taki jakiś i prosi: — „Tylko nie napiszcie, panowie, w gazecie. To się już nie powtórzy"... Milicja nie szczędzi słów uznania dla swych redaktorów, a prokurator powiedział, że cokolwiek dobrego by nie powiedziano o gazecie, on pod wszystkim kładzie podpis...

Wiele takich wypowiedzi o „Życiu Pabianic". Jeden z lekarzy napisał, że to co robią ci młodzi ludzie, jest zaprzeczeniem panującego ogólnie złego mniemania o naszej młodzieży...

Nie wszystko też zresztą idzie jak z płatka w naszych miłych Pabianicach. Niechętnie wspomagają gazetę największe tam Zakłady Przemysłu Bawełnianego. Mają swoją gazetę zakładową i ani myślą połączyć swych wysiłków z wysiłkami redakcji „Życia". A przecież ich „Trybuna Załogi" kosztuje sto tysięcy rocznie i prawie wszystko na marne — ludzie nie chcą czytać słabego pisma... Zdarza się też (np. w wypadku PSS), że krytyczny artykuł powoduje zmniejszenie liczby ogłoszeń.

— Kochani! Nie mamy pieniędzy — mówi się potem.

A pieniądze są, bo księgowy sprzyja redakcji i po cichu powiedział...

Tak, tak. Nie łatwe jest życie redaktorów „Życia"...

* * *

Na terenie województwa łódzkiego wychodzą jeszcze trzy tygodniki. O „Gazecie Radomszczańskiej" pisałem już w jednym z poprzednich numerów „Odgłosów". Jej siostrzycą jest powstała niedawno „Gazeta Wieluńska". Oba te tygodniki są (doskonałymi zresztą) mutacjami „Gazety Częstochowskiej", nie można ich więc omawiać w zestawieniu z omówionymi poprzednio, samodzielnymi czasopismami. Novum, jakie znalazłem w ostatnich numerach tych dwóch gazet, stanowią dwa doskonałe dodatki: magazyn regionalny „Nad Wartą" i „Nasz region w obiektywie". Przybyło więc dużo literatury, not kronikarskich i fotografiki. Z drugiego numeru „Nad Wartą" dowiedzieliśmy się na przykład, o dziejach Praszki, w której prażono ongiś rudę żelazną, poznaliśmy barwną legendę Pajęczna, przeczytaliśmy tam szereg dobrych artykułów i wierszy. Ale to wszystko, to już zasługa naszych energicznych kolegów z ciążącej stale w kierunku naszego województwa, Częstochowy... Na terenie Wielunia redagowana jest także mutacja „Słowa Powszechnego". Ciekawi więc jesteśmy jak wypadnie rywalizacja częstochowskich i warszawskich dziennikarzy. Jedno wszakże jest pewne — Wieluń zyska na tej rywalizacji. I tak jest już w tym względzie najbardziej uprzywilejowanym miasteczkiem w kraju... Właśnie kiedy zasiadałem do napisania niniejszych uwag, ukazał się w Piotrkowie Trybunalskim jeszcze jeden tygodnik. Utorowała mu drogę mutacja łódzkiego „Głosu Robotniczego". Niestety, niewiele możemy powiedzieć o pracy dziennikarzy piotrkowskich. Jeden numer to mało... Wszakże jedno jest pewne : na prowincji naszej budzi się nowe życie. Wychodząca tam prasa jest wyrazem wzrastającej z dnia na dzień aktywności społecznej. Dobry i pocieszający to objaw. Pocieszający tym więcej, że za pisanym słowem idą i czyny. W każdym razie można już poważnie mówić o popaździernikowych osiągnięciach w kulturze. Są one namacalne.

Kiedy milczeć nie wolno

MARIAN PIECHAL

Kiedy milczeć nie wolno? Wtedy, kiedy zagraża niebezpieczeństwo życiu ludzkiemu. A tym stałym niebezpieczeństwem w naszych czasach jest wojna. Zaś wojna nowoczesna, kiedy w grę wchodzi tzw. broń termojądrowa, to zbrodnia przeciw ludzkości. Bowiem najnowsza technika walki i środki wojenne skierowane są nie tylko przeciw uzbrojonym oddziałom wojskowym i określonym umocnieniom militaryzmu, ale przede wszystkim przeciw ludności cywilnej i otwartym osiedlom. Nowoczesne narzędzia i sposoby masowego mordu nie oszczędzają nikogo, nie odróżniają obiektów cywilnych od wojskowych i tzw. frontu od zaplecza. W nowoczesnej wojnie tzw. pierwsza linia ognia znajduje się w każdym punkcie napadniętego znienacka kraju. Nie ma dosłownie na całej kuli ziemskiej takiego punktu, do którego nie dotarłyby wystrzelone z dowolnego miejsca pociski rakietowe zdalnie kierowane. Grozę powiększa świadomość, że drobny przypadek lub zwykła pomyłka może spowodować początek straszliwego wybuchu, którego końca w jego reakcji niemal automatycznej i rzeczywiście „łańcuchowej" trudno przewidzieć, a o porozumieniu wobec wzrastającego błyskawicznie ogólnego chaosu i paniki trudno nawet pomyśleć. Nowoczesna wojna, to już nie świadome działanie ludzkie, lecz żywiołowy kataklizm!

Dlatego zagadnienie pokoju przybiera w drugiej połowie naszego wieku, wieku największego w dziejach rozwoju techniki i nauk fizyko-chemicznych, postać tragicznego, rozstrzygającego ostatecznie o naszym dalszym życiu, pytania: być albo nie być?

Być oznacza pokój! Nie być oznacza wojnę! Sądzę, że nawet najbardziej desperanckie jednostki w swym naturalnym odruchu samozachowawczym są za tym, aby być czyli istnieć, czyli zachować życie, które dla każdego przecież jest tylko jedno i niepowtarzalne, a więc są za pokojem.

Tak tedy wrodzona chęć istnienia, odruchowe pragnienie zachowania życia jest spontaniczną niejako deklaracją na rzecz pokoju. Ale za jaką cenę? Czy za cenę wyrzeczenia się przez ludzkość zdobyczy nowoczesnej techniki i za cenę rezygnacji z najnowszych wyników i osiągnięć nauk fizyko-chemicznych? Jednym zdaniem, czy za cenę odrzucenia największej zdobyczy umysłu ludzkiego w naszym wieku — odkrycia energii atomowej?

Wydaje mi się, że nie. Wszak energia atomowa, jak każda energia, jest ślepa i bezwładna — i tylko od dobrej woli ludzkiej zależy jej użycie i uczynienie z niej siły niszczącej lub tworzącej. Ten sam umysł ludzki, który ją odkrył i wyzwolił, potrafi ją także ujarzmić i dowolnie nią rozporządzać na użytek życia, a nie na jego zagładę, na własny rozrost i potęgę, a nie na śmierć.

Myślał o tym z tragiczną rozterką w duszy jeden z najbardziej zasłużonych odkrywców tej tak niepokojącej nas dotąd energii, Albert Einstein. Odkrywał tę energię w atomie nie dla wojny, lecz dla pokoju. Ale siły wrogie ludzkości przemieniły ją na bombę atomową i rzuciły na Hiroszimę i Nagasaki. Odtąd zaczął się bolesny dramat Alberta Einsteina. Dramat, który spowodował jego przedwczesną śmierć.

Dramat Einsteina stał się udziałem innych uczonych. Nie ma dziś w świecie poważnego męża nauki, który by nie ostrzegał przed wojną, przed grozą ostatecznej zagłady, jaką niesie z sobą możliwość użycia broni termojądrowej. Dlatego na Krajowej Konferencji Polskiego Ruchu Pokoju, który się odbył w Warszawie dnia

(Dokończenie na str. 4)

ze str. 1

AUTO-SPORT

nieco zagadkową nazwę — „Sam". Są to bowiem wozy skonstruowane, zmajstrowane, czy jak kto woli, sklecone przez fanatyków sportu motorowego, w podręcznych, prymitywnych warsztatach, z przypadkowo dobranych części za którymi odbywają się poszukiwania po całej Polsce. Oczywiście na takich wozach, mimo fanatyzmu i samozaparcia ich konstruktorów i kierowców, niesposób osiągnąć wyników na przeciętnym światowym poziomie Anno Domini 1958. Jest więc nasz sport motorowy zabawą, która trąci myszką i zarazem karnawałem. Czymś w rodzaju owego corsa samochodowego, jakie odbywa się bodajże w Nicei, kiedy to staroświecko ubrani panowie i panie przejeżdżają przez miasto na archaicznych samochodzikach sprzed pół wieku.

Sport motorowy, to piękna, hartująca odwagę dyscyplina. Jaka szkoda, że u nas, w Polsce, został zepchnięty na mało znaczący margines. A przecież mamy kilka fabryk samochodów i kilkanaście fabryk motocykli. Czy doprawdy Żerań, Starachowice, Lublin nie mogłyby we własnym interesie, równolegle do swej zasadniczej produkcji, budować eksperymentalnych typów wozów wyścigowych? Przecież robią to niemal wszystkie fabryki samochodów na świecie. I to ze względów nie tylko sportowych. Wóz wyścigowy, zbudowany w oparciu o podstawowe części zasadniczych typów samochodów produkowanych przez fabrykę, znakomicie sprawdza ich jakość i stanowi zarówno swego rodzaju eksperyment laboratoryjny, jak i — co nie jest bez znaczenia — świetną reklamę.

Ale nie u nas, proszę państwa, nie u nas. W Polsce samochód wyścigowy to — „Sam"; własnoręcznie przez kierowcę i jego towarzyszy skonstruowany, wzruszający dziwoląg, złożony z części najróżnorodniejszych samochodów, prezentujący zarazem i romantyczną naiwność Polaków, i ich zacofanie techniczne.

Jeśli tak dalej pójdzie, to szeregi ostatnich polskich Mohikanów sportu motorowego wykruszą się do reszty i wyścigi samochodowe przejdą w Polsce do historii. Straci na tym nasz przemysł samochodowy, niepocieszeni będą zapaleni miłośnicy pięknego sportu, a ja będę mógł opowiadać swym dzieciom o wyścigach, których one nigdy już nie zobaczą.

Szkoda, proszę państwa, wielka szkoda!

W parkingu przed startem...

Przyjaciele sprawdzają silniki i udzielają rad taktycznych.

— Im wyżej... tym lepszy punkt obserwacyjny.

Tekst i zdjęcia WACŁAW BILIŃSKI

Bywa i tak...

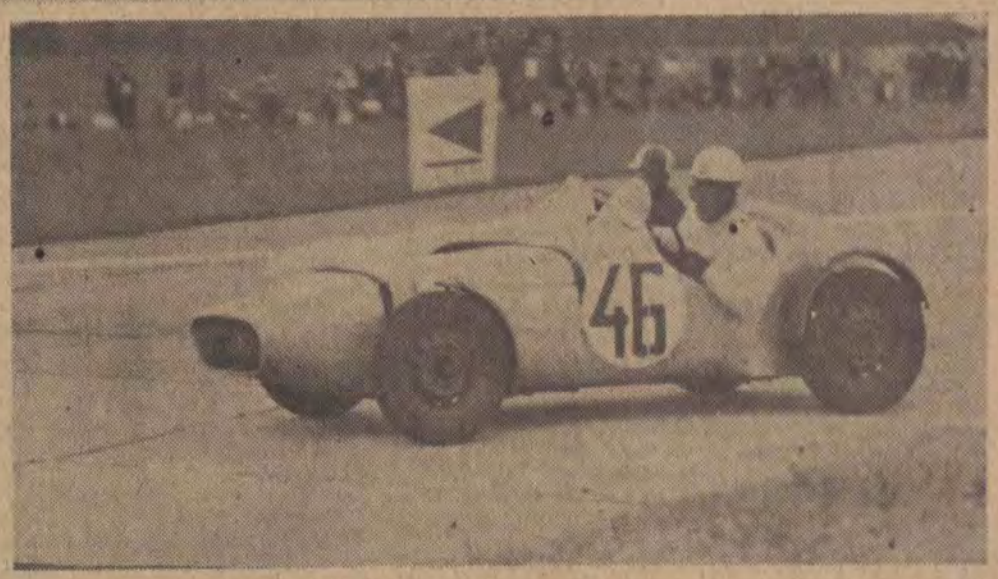

"Ale go zarzuciło!"

Finisz!

Tajniki wywiadów, gabinetów i wydarzeń XX wieku

POCZĄTEK I KONIEC „WIELKIEJ DROGI CESARSTWA"

Część XI

OSCAR LINDAY

Amerykański plan ofensywy. — Przygotowania. — Stalowy parasol. — Bój w centrum archipelagu. — Skok na Wyspy Zielone

ŻABIE SKOKI NA ARCHIPELAGU ŚMIERCI

Gdy miotacze płomieni wypalały ostatnie bunkry Japończyków na Guadalcanal, plan generalnej ofensywy amerykańskiej był już — w ogólnych zarysach — gotowy. Różnił się on zasadniczo od promienistej ofensywy Yamamoto. Był koncentryczny. Skrajny wschodni kierunek przebiegał przez wyspy Gilberta i Marshalla. Skrajny zachodni — z Nowej Gwinei przez Filipiny. Środkowy — przez archipelagi Salomona, Bismarcka, Karoliński i Mariański. Wszystkie te kierunki zbiegały się na obszarze rdzennie japońskiego archipelagu Riu-Kiu, którego główna wyspa — Okinawa — była podstawowym punktem strategicznym imperium japońskiego i gwarancją bezpieczeństwa jego szlaków komunikacyjnych. Z Okinawy miał być zadany ostateczny cios cesarstwu. Sam zresztą upadek Okinawy musiał być już ciosem, gdyż izolował ubogą w surowce metropolię od odległych obszarów Indonezji, Malajów, Indochin, Burmy i Syjamu. Obszary te — z wyjątkiem pół. Burmy — nie zostały w ogóle uwzględnione w planach ofensywnych dowództwa amerykańskiego. Aż do kapitulacji Japonii pozostały poza terenem walki. Amerykańska ofensywa była zresztą obliczona na całkowite pokonanie nieprzyjaciela w jego metropolii, a nie na efekty terytorialne, czy ekonomiczne, tak jak to miało **miejsce z ofensywą japońską.**

Przez dwa i pół roku Amerykanie z żelazną konsekwencją realizowali ten plan. Od zdobycia Guadalcanal, aż do 6 sierpnia 1945 r., kiedy to z Okinawy wystartowała na Hiroshimę superforteca „B-29" z bombą atomową na pokładzie, stwarzając precedens ludobójstwa na niespotykaną dotąd skalę.

*

Przygotowania do ofensywy zaczęły się już z początkiem roku 1943. Prawie równocześnie ze zdobyciem Guadalcanal Amerykanie podjęli na dalekiej północy taktyczną kontrofensywę w rejonie wysp Aleuckich a Australijczycy wzmocnieni posiłkami amerykańskimi odepchnęli Japończyków od Port Moresby i uwikłali się w niezwykle trudną, tropikalną kampanię w Papua na Nowej Gwinei.

Część wysp Aleuckich została zajęta przez Japończyków w końcowej fazie ich militarnych sukcesów. Znaczenie tego archipelagu było ogromne. Aleuty stanowią naturalny pomost do Alaski na kontynencie amerykańskim. W rezultacie kontrofensywy Amerykanie odbili utracone wyspy w sierpniu 1943 r. To ostatecznie usunęło bezpośrednią groźbę i wyjaśniło sytuację na północy.

Ofensywa amerykańska mogła osiągnąć rozmach dopiero po definitywnym oczyszczeniu gęstych archipelagów Salomona, Bismarcka i Admiralicji oraz po wyparciu Japończyków z Nowej Gwinei. Strategicznym punktem tego obszaru był port Rabaul na Nowej Brytanii (arch. Bismarcka). Przez port ten przechodziły szlaki komunikacyjne zaopatrzenia japońskiego. Tam też skierowały się dwa natarcia — jedno z Port Moresby poprzez dżunglę w Papua na Nowej Gwinei (o tym będzie mowa w następnym odcinku) i drugie z Guadalcanal — skokami przez wyspy Salomona.

*

Nowiutkie „Mitsubishi-Zero", rewelacyjne myśliwce japońskie, setkami obsiadały lądowiska licznie rozsiane na wysepkach Salomona. Tu nie było żartów. Uporczywą walką na Guadalcanal Amerykanie ujawnili swe plany i swoją siłę. Cesarstwo znalazło się w niebezpieczeństwie! Trzeba go bronić na dalekim przedpolu.

Admirał Yamamoto pogodził się już z utratą Guadalcanal. Nie oznaczało to jednak decyzji ewakuowania pozostałych wysp archipelagu. Wprost przeciwnie. W ładowniach transportowców przewieziono coraz więcej cementu. Gorączkowo fortyfikowano wysepki i koralowe atole. Tu miał się zmierzyć wspaniały, zdeterminowany żołnierz cesarza ze zblazowanym Yankesem. Oko w oko. Yamamoto nie wątpił, że ostateczny wynik tej walki musi być pomyślny.

Szczelny parasol myśliwców z emblematami wschodzącego słońca osłonił archipelag przed wściekłymi atakami bombowców. Generał Kenney, dowódca 13 armii powietrznej, miał ciężkie zadanie. Powodzenie ofensywy uzależnione było od skuteczności bombardowania baz japońskich. Tymczasem nieprzyjaciel zastosował taktykę z powietrznej obrony Londynu. Gęsta sieć lotnisk pozwalała na szybką koncentrację myśliwców. Płonące „Liberatory" waliły się w ocean.

Dla osłony bombowców potrzebne były myśliwce. Dużo myśliwców. Myśliwce mają jednak krótki zasięg i muszą startować z bliska. Ten bliski start zapewniała im tylko niewielka baza na „Polu Hendersona" i pokłady lotniskowców.

Zbyt mało na tak wielką operację lotniczą.

W tej trudnej do rozwiązania łamigłówce strategicznej Amerykanie decydują się zdobywać wyspy Salomona krok za krokiem i sukcesywnie rozbudowywać bazy własnych myśliwców i bombowców bliskiego wsparcia. Stąd przyjęło się w prasie określenie: „żabi skok".

21 lutego 1943 r. w ciężkim, frontalnym ataku, piechota morska gen. Vandergrifta (w międzyczasie powrócił on na front ze swymi weteranami i objął dowództwo tego odcinka) zdobywa wyspy Russel, ok. 100 km. na północny zachód od Guadalcanal. Japończycy bronią się rozpaczliwie, ale po kilku dniach ulegają ogromnej przewadze. Zresztą U. S. Navy panuje już nad sytuacją i ogniem swych dział wspiera natarcie.

Wyspy Russel, w przeciwieństwie do Guadalcanal, są nizinne. Lepiej nadają się do budowy lotnisk. Toteż przez dwa tygodnie warczą w dżungli mechaniczne piły a spychacze niwelują teren. W niespełna miesiąc na gotowych lotniskach siadają chmary „Piekielnych Kotów" — najnowszych myśliwców amerykańskich, dorównujących nareszcie walorami bojowymi „Mitsubishi-Zero".

Teraz zaczyna się największa kampania lotnicza wojny na Pacyfiku. Trwa nieprzerwanie przez cztery miesiące i w tym czasie działania lądowe prawie wcale nie odbywają się. Dzień po dniu Amerykanie zwiększają swoją przewagę i wreszcie w drugiej połowie czerwca panują już nad obszarem powietrznym wysp Salomona.

Trzeba tutaj dodać, że podczas tej kampanii lotniczej został nad Pacyfikiem zestrzelony samolot wiozący na swym pokładzie admirała Yamamoto wraz z towarzyszącą mu świtą.

*

Następny etap ataku amerykańskiego, to centralna konstelacja archipelagu, wyspy: Nowa Georgia, Rendava, Kolombangara, Arundel, Gononga i Vella Lavella, (patrz: mapa). Każda z nich była już silnie umocniona i przygotowana do obrony. Bombowce 13 floty powietrznej zrzuciły tysiące ton bomb kruszących. Okręty zablokowały labirynt cieśnin.

30 czerwca dywizja piechoty morskiej przewieziona barkami desantowymi z wysp Russel ląduje w dwu miejscach: na wyspie Rendava i Nowej Georgii. Walki toczone są z niezwykłą zaciętością i zmiennym szczęściem, chociaż wysepki są maleńkie — mają od kilku do kilkuset kilometrów kwadratowych. Wykorzystując liczebną przewagę, Amerykanie atakują w kilku miejscach równocześnie. W połowie sierpnia wysadzają desanty na Vella Lavella i Arundel. W ten sposób najsilniej broniona Kolombangara z największą bazą lotniczą dostaje się w potrzask. Na zdobyte lotnisko pod Munda na Nowej Georgii Amerykanie pospiesznie przerzucają myśliwce i bombowce nurkujące.

Ponad trzy miesiące trwały walki w centrum archipelagu. Wreszcie w połowie października Amerykanie opanowali ten obszar ostatecznie.

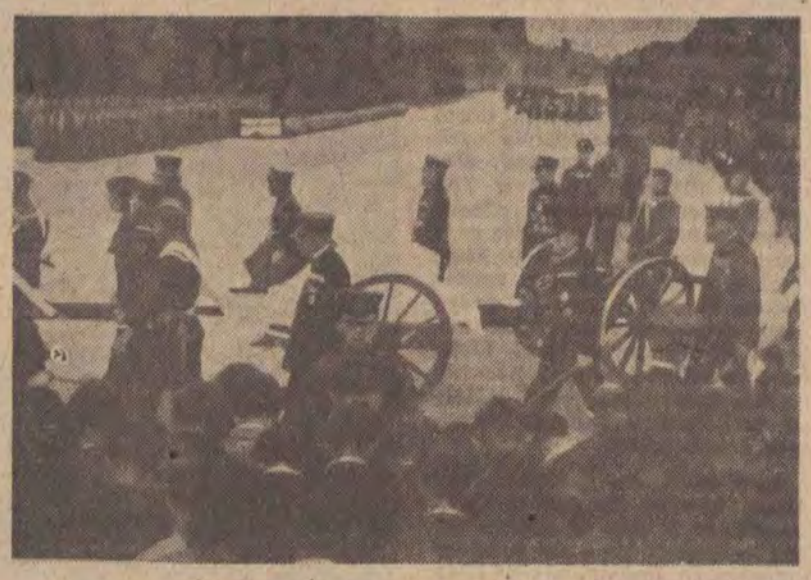

Symboliczny pogrzeb admirała Yamamoto, szefa sztabu japońskiej marynarki wojennej, genialnego dowódcy, autora wszystkich błyskawicznych operacji lądowo-morskich, od Pearl Harbor począwszy. Admirał Yamamoto, na którego długo polowali Amerykanie, został wreszcie 18 kwietnia 1943 r. zestrzelony przez myśliwce amerykańskie i strącony do Pacyfiku w czasie odbywania lotu inspekcyjnego. Wiadomość o tym locie uzyskano dzięki rozszyfrowaniu ściśle tajnej depeszy japońskiego MSZ.

Na drodze Rabaul leżały jednak wyspy Choiseul, Bugainville, Buka i dziesiątki małych wysepek. Wszystkie przygotowane do obrony.

*

Generałowie ze skupieniem pochylali się nad błękitno-zieloną mapą Melanezji. Mieli za sobą tylko małą część kampanii, a opór japoński stawał się coraz bardziej uporczywy. Aby lądować na Bugainville trzeba wykonać znów duży, 200-kilometrowy skok przez Morze Koralowe. To zawsze łączy się z niebezpieczeństwem kontrakcji floty nieprzyjacielskiej, dla której barki desantowe mogą być łatwym łupem. Sama siła nic tu nie zdziała. Trzeba znaleźć fortel.

I oto ktoś rzuca jakże starą, ale genialną myśl: zamarkowany atak! Tu upozorować — tam uderzyć.

Myśl przeobleka się w czyn. 31 października bombowce dokonują zmasowanego nalotu na bazy japońskie na wyspie Choiseul. Japończycy stają się czujni. 1 listopada spadochroniarze i piechota morska w sile batalionu lądują na wyspie. Japończycy nie wytrzymują nerwowo. Flota ich wpływa w zatokę Kula — ale tu czeka już admirał Merill. 2 listopada wiąże flotę japońską w walce i zadaje jej ciężkie straty. Formacje szturmowe wycofują się nocą z Choiseul — tu na razie są już niepotrzebne.

Równocześnie Morzem Koralowym spokojnie płyną barki desantowe i pod osłoną niszczycieli wysadzają desant w Zatoce Cesarzowej Augusty na Bugainville.

Ale tu nowa niespodzianka. Pomimo zupełnego zaskoczenia opór japoński jest tak potężny, że natarcie amerykańskie utyka. Nie pomagają przerzucane samolotami posiłki, ani zastosowanie wszystkich rodzajów broni. Japończycy nie ustępują ani kroku.

Znów generałowie dumają nad mapami „Archipelagu Śmierci" — takiego bowiem określenia „dorobiły się" już wyspy Salomona. W pierwotnym założeniu archipelag miał być pomostem do Rabaul. Tymczasem stał się samodzielnym obszarem strategicznym, na którym walki trwają już półtora roku! 18 miesięcy, 540 dni i nocy trwa nieprzerwany bój w bagnistej dżungli i na malarycznym wybrzeżu wysepek i atoli o łącznej powierzchni dwunastokrotnie mniejszej niż powierzchnia Polski, niezwykle rzadko zamieszkałych przez półdzikich Melanezyjczyków.

14 lutego 1944 r. dowództwo amerykańskie decyduje się na wielki manewr oskrzydlający. Perspektywa zdobywania poszczególnych wysp wydaje się koszmarem. Japończycy walczą z determinacją i mają doskonałe zaopatrzenie.

Wybór pada na Wyspy Zielone, ok. 150 kilometrów na północ od Bugainville. Wysepki są słabo umocnione, ponieważ do tego czasu nie miały dla Japończyków większego znaczenia. Atak udaje się.

Teraz decyduje sprawność technicznej obsługi lotnictwa. Na Wyspach Zielonych powstają lądowiska myśliwców i bombowców bliskiego wsparcia. Archipelag Salomona zostaje izolowany i traci znaczenie strategiczne. W tym czasie atak na Rabaul pomyślnie rozwija się od Nowej Gwinei. Na Bugainville, Choiseul, Buka i licznych wysepkach jeszcze długo trzaskają karabiny maszynowe. Japończycy nie chcą ulec — ale i Amerykanie nie atakują zbyt zaciekle. Ich zdaniem los przeciwnika jest już w tej strefie przesądzony.

(c.d.n.)

Za tydzień:

TROPIKALNA KAMPANIA W PAPUA

---

2 Kiedy milczeć nie wolno...

20 czerwca rb., a w której uczestniczyłem jako delegat naszego miasta, największe najpozytywniejsze, wrażenie wywarł na mnie zwięzły i rzeczowy referat prof. Andrzeja Sołtana o stosunku nauki i uczonych do problemów energii termojądrowej. Chodzi o to, ażeby to najdonioślejsze w historii ludzkości odkrycie nie stało się dla niej puszką Pandory, z której niebezpieczne żywioły łatwo wyzwolić, ale o wiele trudniej ujarzmić. Dramat Alberta Einsteina staje się dziś dramatem sumienia każdego z uczonych. Dlatego każdy z nich w poczuciu odpowiedzialności za przyszłe losy ludzkości uczestniczy z najgłębszego przekonania w światowym ruchu pokoju, w każdej akcji zmierzającej do wytrącenia raz na zawsze energii atomowej z rachunku militarnych rozgrywek między narodami.

Wraz z uczonymi łączą się w tym względzie inni ludzie pracy umysłowej i twórczej, cała inteligencja, cały świat postępu. Literatura i dzieła sztuk pięknych zawsze dawały i dają temu wyraz. Nigdy artysta godny tej nazwy nie wzywał do wojny, zawsze z troską myślał o zagrożeniu pokoju. Bowiem tylko i jedynie w atmosferze pokoju może się rodzić i rozwijać tzw. kultura i cywilizacja. A sztuka i literatura, to przecież kwiaty tej kultury i tej cywilizacji. Rzadki jest artysta, rzadki uczony, który tego nie rozumie i pochwala wojnę. Był taki faszyzujący poeta włoski T. F. Marinetti, który głosił, że „wojna — to jedyna higienia świata". Ale to był nie tylko poeta, ile krzykliwy imbecyl, którego wnet hitlerowcy podczas ostatniej wojny światowej, zniszczywszy jego piękną ojczyznę, uleczyli z głupoty.

Prawdziwi twórcy od początku dziejów zawsze byli za pokojem. Homer największe swe dzieło „Iliadę" rozpoczyna słowami moralnego potępienia wojny:

„Gniew Achilla, bogini, głoś obfity w szkody,
Który ściągnął klęsk tyle na greckie narody,
Mnóstwo dusz mężnych wcześnie wtrącił do Erebu,
A na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu
Walające się trupy rycerskie wśród pola:
Tak Zeusa wielkiego spełniała się wola
Odtąd, gdy się zjątrzyli sporem niebezpiecznym
Agamemnon, król mężów z Achillem walecznym".

Oczywiście my, współcześni, wiemy, że nie króle Agamemnony i Achille wywołują dziś wojny, ale że powodują je królowie węgla, stali, nafty i... energii atomowej. Oto prawdziwa broń nowoczesnych królów. Trzeba im tę broń z ręki wytrącić. Trzeba ich pozbawić władztwa nad tą bronią. Trzeba bronić narody przed nimi. Trzeba strzec zgody narodów, aby się, jak powiada Homer, nie „zjątrzyły sporem niebezpiecznym", który może naprawdę i dziś także jak za czasów Homera, „ściągnąć klęsk tyle na wszystkie narody", „mnóstwo dusz mężnych wcześnie wtrącić" do grobu, albo „na pastwę dać sępom i psom bez pogrzebu walające się trupy... wśród pola", a i to nie, bo w przyszłej wojnie nawet sępy i psy stracą życie.

Wobec takiej perspektywy czyż wolno milczeć? Głos za pokojem, to głos protestu przeciw śmierci, przeciw samobójstwu ludzkości. **MARIAN PIECHAL**

TADEUSZ SZEWERA

ŚMIERĆ starego dziwaka

Dom, w którym rozegrała się tragedia starego dziwaka, stoi przy ulicy Lustrzanej. Nie trudno go będzie odnaleźć tym, których ciekawość przygoni w te strony. Od razu zauważą fronton czteropiętrowej, czynszowej kamienicy, ozdobiony kolorową cegłą i sklepienie bramy pdtrzymywane przez kamienne amorki. Przez tę bramę wchodzi się na podwórko, takie samo jak i w setkach innych łódzkich posesji. Podwórko jest brudne, słońce tu nie zagląda. W rogu drewniane komórki, obok nich przepełnione śmieciami puszki.

Podwórko otaczają z trzech stron oficyny. W najwyższej, na trzecim piętrze, mieszkał przez 10 lat „stary dziwak". Tak nazywali współlokatorzy sześćdziesięcioletniego Pawła K. „Stary dziwak" już nie żyje. Jego śmierci towarzyszyły zagadkowe okoliczności, przy czym zwłoki zmarłego odkryto zupełnie przypadkowo, dopiero po upływie dwóch tygodni od chwili zgonu.

Zaintrygowany tym faktem, udałem się na ulicę Lustrzaną. Od mieszkańców czynszówki, żyjących jeszcze ciągle pod wrażeniem tragicznego zdarzenia, uzyskałem pewne informacje, które jakkolwiek nie wyjaśniły zagadki śmierci „starego dziwaka", to przecież doprowadziły do tego, że ostatecznie złożyłem wizytę w Wydziale Śledczym Milicji Obywatelskiej. Zanim jednak opowiem o pobycie w milicji, przypomnę czego dowiedziałem się na miejscu o „starym dziwaku" od jego sąsiadów.

Kim był i skąd przybył, tego nikt nie umiał powiedzieć. „Stary dziwak" strzegł tajemnicy swego życia przed rozplotkowaną kamienicą, jak drogocennego skarbu. W ciągu 10 lat z nikim nie zamienił zbędnego słowa, nikogo z sąsiadów nie odwiedzał, nikogo nie zapraszał do siebie. Zatrzaśnięte na trzy zamki drzwi, podtrzymywane grubym łańcuszkiem, broniły wstępu do mieszkania intruzom. Nie pomagały żadne fortele w rodzaju rzekomych komisji Komitetu Domowego, sprawdzających czy nie przeciekają krany i zbiorniki w ubikacjach. Na natarczywe dzwonki „stary dziwak" odmykał zamki. Przez wąską szparkę w zabezpieczonych łańcuchem drzwiach odpowiadał ostro — „nic nie przecieka!" — po czym zatrzaskiwał je natychmiast. Tak więc, nie udało się nikomu ustalić, co kryło wnętrze jego mieszkania.

Jedyne okno wychodzące na podwórko, było zazwyczaj zasłonięte spłowiałą roletą. Tylko dwa, względnie trzy razy — (widocznie oddał wówczas roletę do prania) — sąsiadki z przeciwnej oficyny widziały „starego dziwaka" siedzącego przy oknie. Jadł suchy chleb popijając herbatą. To wystarczyło, by wszyscy nabrali przekonania, iż na trzecim piętrze mieszka skąpiec okrutny, nie tylko dla bliźnich, ale i dla siebie. Było w tym chyba trochę prawdy, „stary dziwak" wyglądał ascetycznie, nosił zniszczone garnitury i buty. Serca dobrego także nie miał. Nigdy nie zauważono, by pożywił się u niego biedny. Odganiał żebrzących od drzwi, nie dawał grosza na żadne cele dobroczynne. Natomiast regularnie, każdego pierwszego dnia miesiąca, opłacał komorne i inne świadczenia.

Czasem znikał na długo i te właśnie wędrówki „starego dziwaka" — najbardziej intrygowały sąsiadów. Po kamienicy krążyły najprzeróżniejsze plotki: np, że to gangster, „zamaskowany szpieg obcego wywiadu", albo, że w mieszkaniu ukrywa „stary dziwak" milionowy skarb, którego dorobił się na zwykłym złodziejstwie, okradając jubilerskie sklepy; mówiono także o szantażującej „starego dziwaka" kochance, której oddaje wszystkie zarobione pieniądze i stąd jego bieda. Lecz w jaki sposób zarabiał Paweł K. naprawdę, plotkarze nie potrafili wyjaśnić, zaciskali jednak uporczywie wokół „starego dziwaka" pętlę jadowitych opinii, ścigali go nieprzyjaznymi spojrzeniami.

Nikt w kamienicy nie wiedział, że „stary dziwak" od czternastu dni nie żyje. W tym, iż przez dwa tygodnie nie widziano go na podwórku, nie było nic zaskakującego. Czasami nie pokazywał się na oczy przez cały miesiąc.

Inkasenta komornego zastanowił fakt, że Paweł K. nie odpowiada nawet na najbardziej natarczywe dzwonki, chociaż klucz tkwi w zamku od strony wewnętrznej. Powiedział o tym dozorcy, dozorca sąsiadom. Wówczas także zauważono, że przecież u Pawła K. świeci się światło! A więc, jest w mieszkaniu. Ktoś nawet twierdził uparcie, że to światło pali się bez przerwy już kilka dni i nocy.

Zawezwani milicjanci wyważyli drzwi przy pomocy ślusarza. „Stary dziwak" leżał na podłodze obok stołu, w ręce zaciskał kurczowo arkusz listowego papieru... W pokoju nie było prawie mebli. Stały jakieś skrzynie. Tyle tylko zdążyli zauważyć ludzie. Milicjanci natychmiast rozpędzili natrętnych i żądnych sensacji gapiów. Stali więc na podwórku tłumnie i widzieli, jak przyjechali prokurator i lekarz. Niebawem zabrano sczerniałego trupa. Dopiero sekcja zwłok miała ustalić faktyczną przyczynę śmierci, ale dla mieszkańców kamienicy oficjalne orzeczenie było już jednak bez znaczenia. Trwali w przekonaniu — na podstawie swych wieloletnich obserwacji i szczegółów zauważonych w momencie wyważenia drzwi, że „stary dziwak" popełnił samobójstwo, albo został zamordowany, albo też umarł z głodu, jak to skąpiec.

To jest wszystko, czego zdołałem dowiedzieć się na miejscu tragicznego zdarzenia. Szczególnie zaintrygowała mnie owa kartka (jeżeli wierzyć opowiadającym) — którą przy zmarłym znaleziono, a przede wszystkim tajemnicza przyczyna zgonu. Dlatego prosto z ulicy Lustrzanej udałem się do parku, gdzie w białym pałacyku obrał sobie siedzibę Wydział Śledczy Milicji.

Przyjął mnie w zacisznym gabinecie szpakowaty sympatyczny pan. Powiedziałem, co mnie do niego sprowadza.

— Sprawa Pawła K. — „starego dziwaka"? Nie ma w niej nic nadzwyczajnego. Popularny ludzki melodramacik, z tą tylko różnicą, że tym razem jeszcze nie zakończony. Na zakończenie może nas naprowadzić jedynie przypadek. Tak. Zwykły przypadek.

Podał mi teczkę w czarnej oprawie, opatrzoną numerem 278. Z bijącym sercem sięgnąłem po pierwszy dokument. W ręku trzymałem ten sam arkusz papieru listowego, który zmarły zaciskał w dłoni. W trakcie pisania tego listu nastąpiła śmierć. List niezakończony.

Najdroższa memu sercu, Madzieńko, córeczko moja! Teraz, kiedy jesteś w przededniu założenia własnej rodziny, kiedy Twoje dobre serduszko pokochało, muszę Ci wyznać to, co kryłem przed Tobą przez 18 lat. Ten szpakowaty pan Paweł, który przyjeżdżał czasem do Ciebie, to Twój ojciec. Jesteś na tyle dorosła, że przyjmiesz spokojnie moje wyznanie. Jestem szczęśliwy, że zdobyłem się na odwagę. Dłużej jednak kryć tego nie mam sił. Gdzie szukać Twej matki nie wiem. Osiemnaście lat rozłąki... Nie widziałem jej od czasu, gdy mieszkałem przy ulicy Słonecznej...

Za dwa tygodnie zobaczymy się. Opowiem Ci wówczas wszystko. Chcę jednak już dzisiaj wyznać, że przez ostatnich 10 lat żyłem wyłącznie dla Ciebie i zbierałem dla Ciebie...

Ostatnie słowo zamazał kleks. Koniec.

— Adresu Madzi, mimo gruntownego przeszukania mieszkania i notatek zmarłego, nie znaleźliśmy. Koperty zaadresować nie zdążył. Gdzie przebywa więc córka, tę tajemnicę zabrał ze sobą „stary dziwak" do grobu. Powiem szczerze, że nawet nie jesteśmy pewni, czy nosiła to samo nazwisko co i on — odezwał się szpakowaty pan.

Sięgnąłem natychmiast po drugi dokument. Wynik sekcji zwłok. Krótkie orzeczenie potwierdziło mój domysł. Paweł K. — „stary dziwak" nie popełnił samobójstwa, nie został zamordowany, ani też nie zginął śmiercią głodową, jak to usiłowali suponować lokatorzy z ulicy Lustrzanej. Paweł K. zmarł na serce. Atak nastąpił pod wpływem wstrząsu, jakim był dla niego zbliżający się dzień spotkania z córką. Zabiło go wzruszenie, a może i ludzka nieżyczliwość, duszna atmosfera kamienicy?

Powróciłem w myślach na podwórko przy ulicy Lustrzanej. Siedzą na stołkach, stołeczkach, pod ścianami, przed bramą, w niedzielne popołudnie lokatorzy czynszówki. Kobiety splotły ręce na podołkach, mężczyźni kurzą papierosy. Siedzą uświęceni odwieczną tradycją mieszczańskiego spędzania popołudnia na plotkach. Między nimi nie ma „starego dziwaka". Może właśnie „zniknął" im z oczu i przebywa gdzieś w nieznanej miejscowości u kochanej córki, a może owego popołudnia niedzielnego leży już martwy w swym pokoju na trzecim piętrze? Lecz oni o tym nie wiedzą, to ich nie interesuje. Nie wyobrażają sobie, by życie „starego dziwaka" mogło być podobne do ich życia, by Paweł K. miał prawo myśleć, czuć, by mógł w samotności, zepchnięty w nią przez ludzką brutalność, przeżywać radości lub zwyczajny dramat. To, że go nie ma, że nigdy go między nimi nie było, staje się „ulubionym" tematem. Plotka odziera więc „starego dziwaka" z cech człowieka, robi z niego potwora, odcina od „normalnego" społeczeństwa. Obrońcy, który by szukał głębszych przyczyn dziwactw Pawła K. wśród plotkujących nigdy nie będzie. Nie znajdzie się nawet wtedy, gdy wszyscy dowiedzą się o jego śmierci.

Coraz szybciej przerzucałem teraz znajdujące się w teczce papiery — protokół z wyważenia drzwi — dla mnie bez znaczenia, obojętne zeznania współlokatorów Pawła K, nie różniące się niczym od tych informacji, których udzielali mnie; spis rzeczy znajdujących się w trzech skrzyniach, obejmujących całą dziewczęcą wyprawę ślubną; i wreszcie zeznanie dozorcy z ulicy Słonecznej. Dozorca pamiętał Pawła K. Mieszkał tu chyba 18 lat temu, może zresztą więcej, a może mniej. Porządny był człowek, urzędnik, na pewnej posadzie. Pewnego dnia przyszła do dozorcy młoda kobieta. Pytała o Pawła K. Kto to był, nie wie. Tylko Paweł K., gdy wrócił z biura, zastał w swoim mieszkaniu list i w łóżku płaczące 3-miesięczne dziecko. Czy ta kobieta zemściła się w ten sposób na Pawle K. za to, że z nią się nie ożenił? Kto to może wiedzieć!

Przed okiem mieszkańców kamienicy Paweł K. nie mógł ukryć skandalu. Wszyscy kpili z niego, szydzili, dokuczali mu. Mówili, że chowa podrzutka, nieślubnego bachora. Doprowadzony do ostateczności rzucił pracę i wyjechał, zabierając ze sobą dziecko. Lecz trafił na drugą taką samą czynszową kamienicę.

Więcej materiałów w teczce nie było. Spojrzałem pytająco na szpakowatego pana. Oficer zrozumiał moje spojrzenie.

— Należy przypuszczać, że po ośmiu latach Paweł K. wrócił do naszego miasta. Zamieszkał przy ulicy Lustrzanej. Lecz do ludzi nie odzyskał straconego zaufania. Nienawidził ich i wolał uchodzić za złego, „starego dziwaka", niż zdradzić się przed nimi z przeżywanego dramatu. Za plotkę, za brak serca, za złośliwą atmosferę, w której trudno żyć, prawo nie karze.

Pożegnałem szpakowatego pana. Szedłem przez park tonący w słońcu, obsypany kwiatami kasztanów. Na ulicę Lustrzaną, do kamienicy wyłożonej barwnymi cegłami i ozdobionej amorkami, już nie wróciłem. Bo i po co? Gdybym ludziom powiedział, że „stary dziwak" miał szlachetne serce, nie uwierzyliby.

TADEUSZ PAPIER

PROCES O SCHEDĘ

Odbył się pogrzeb nauczyciela. Śpiewał chór. Grała orkiestra wiejska. Muzycy przybiegli wprost od sianokosów. Chłopi dobijali się o niesienie trumny. Szły dzieci z kwiatami. Dziewczęta niosły wieniec z liści dębowych. Mówił ksiądz. Mówił ksiądz o cnotach zmarłego. Ksiądz wysławiał cnoty ewangeliczne. Ksiądz powtarzał to, co sąsiedzi znali, widzieli. Słuchał tego kazania towarzysz partyjny. Słuchali związkowcy, nauczyciele. Słuchali chłopi.

Osobiście lubię tego księdza. Nie dlatego go lubię, że jest to człowiek gościnny, i że piłem u niego dobre wino, ale że jest to człowiek rzetelny, uczciwy, lojalny. Oczywiście lojalność jest pojęciem bardzo względnym. Na gruncie parafialnym mogą zdarzyć się różne rzeczy nielojalne, ale ten ksiądz nie jest ich inspiratorem. Nie mógł nim być. W tym najprostszym rozumieniu, że lojalnym jest człowiek nawet odmiennych przekonań, ale szanujący ustalone przepisy i nie występujący pod żadną postacią przeciwko obowiązującym normom, ksiądz musi być potraktowany jako osoba godna zaufania. Ale jednocześnie ksiądz występuje w imię określonego światopoglądu. Są to sprawy bardzo złożone. W imię tego światopoglądu ksiądz wystąpił o schedę moralną po zmarłym. Ksiądz miał ułatwione zadanie, mógł to z powodzeniem uczynić, ponieważ nikt inny nie zgłosił o tę schedę pretensji.

Stary nauczyciel był uczciwym człowiekiem. Był dobrym nauczycielem, cierpliwym wychowawcą, uczynnym sąsiadem. „Biednemu kurtkę zostawił, a sam przyszedł do domu w koszuli". Nie był komunistą. To fakt, ale był postępowym nauczycielem, wychowanym w tradycyjnej, radykalnej szkole związkowej. Nie pochwaliłby manifestacji części parafian, którzy nie pozwolili pochować na miejscowym cmentarzu człowieka odmiennych przekonań religijnych. Nie pochwalił nigdy żadnej nietolerancji ani fanatyzmu. Mało mamy takich działaczy na wsi. W sumie to pracowite, bogate życie przepojone było głębokim umiłowaniem człowieka, gromady, ojczyzny. To życie ksiądz zdyskontował na swój rachunek. Zdyskontowałby nawet, gdyby zmarły był jego otwartym przeciwnikiem. O postawie człowieka decydują ostatecznie jego czyny. A taką schedę, jaką pozostawił po sobie zmarły, warto było zagarnąć. Szedł więc pogrzeb z orkiestrą, dziećmi, kwiatami. Szli chłopi za trumną człowieka, który — jak mówi poetka — „miał ciężkie serce, nie musiał przywiązywać kamienia".

Nauczyciel pracował w tej

str. 7

STRESZCZENIE

Pod wodzą herszta — Czarnego Matwieja grasuje w lesie zgraja zbójców. Obrabowawszy parę Rybaków, szykuje się do napaści na barona Caruso-Hydrargir, wielkiego miłośnika kobiet, recenzenta muzycznego, obszarnika i mistrza sztuki chirurgicznej w jednej osobie,

T Ł O

Sędziwy bór. Na drzewach wiszą tabliczki z napisami:

„Rozporządzeniem Ministerstwa Leśnictwa zabrania się aż do odwołania zbierać płody runa leśnego, jako to: grzyby, jagody czarne i czerwone, ostrężnice vel czernice, alias jeżyny false „jarzyny", recte ożyny. Dalej zabrania się łowić raki i zbierać ślimaki winniczki. Za Min. Leśn. gajowy rewiru 306.

„Nie obrywaj gałęzi. Pomyśl, co byś powiedział, gdyby tobie wyrwano rękę?".

„Nie śmieć w lesie, bo las to nie tramwaj, nie wagon kolejowy, nie poczekalnia, nie ulica".

„Nie śpiewaj w lesie. Pomyśl, że piękniej od ciebie robią to ptaki".

B A L E T

Zbójcy wykonują przeróżne pass baletowe, symbolizujące walkę francuską, boks, walkę wolno-amerykańską, podstawianie nóg, naciąganie palców u dolnych i górnych kończyn, wylewanie za kołnierz butelek o wiadomej zawartości.

CZARNY MATWIEJ:

Hola, kamraci, siadajcie wkoło,
musimy dziś schwytać barona.
Niech popamięta, że żyje Matwiej
i niech tu jak podły pies skona.

CHÓR ZBÓJCÓW:

Niech skona
jak wrona,
o rum, Waleria, rum!
Jak wrona
niech skona,
o rum, Waleria, rum!

CZARNY MATWIEJ:

Niech się ta farsa raz wreszcie skończy,
smutna jak dziegieć lub jak eter.
Jam Czarny Matwiej, mściciel Walerii,
czarny, lecz... czysty charakter.

PRZEWODNICZĄCY CHÓRU ZBÓJCÓW:

Pijmy na umór rum z okowitą,
lejmy go za kark, do uszu,
do butów, w kieszeń, w oistrę, by wszędzie,
przybyło nam animuszu.

CHÓR ZBÓJCÓW:

Niech skona, jak wrona itd.

PRZEWODNICZĄCY CHÓRU ZBÓJCÓW:

Wszystkich powieśmy, powieśmy wszystkich
rzucajmy na nich kamienie,
dziś zobaczymy jak stary baron,
gryźć będzie swą własną ziemię.

CHÓR ZBÓJCÓW:

Drżyj, Hydrargirze, dziś ci weźmiemy
srebro stołowe, pierzyny,
a kto nam opór stawi, krew z niego
puścim jak brudne mydliny.

PRZEWODNICZĄCY CHÓRU ZBÓJCÓW:

Śmierć wszystkim wkoło,
kryć się pod łóżka!
Zemsta to nasza uciecha!
Nie dbamy o to, pałac czy strzecha,
byle śmierć siać wokół wesoło.

CHÓR ZBÓJCÓW:

Nie dbamy o to, strzecha czy pałac,
byle żar wkoło pałał.

PRZEWODNICZĄCY CHÓRU ZBÓJCÓW:

Brzuch albo czoło,
kryć się pod szafy!
Życie to worek grochu,
który rozsypiem w mściwym popłochu,
rozsypiem wesoło wokoło.

SŁOWO WIĄŻĄCE:

Czarny Matwiej, podniecony hulaszczym śpiewem swych kamratów, dobywa z pakownych kabur dwa pisto...

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

HELENA DUNINÓWNA

ZE STARYCH KRONIK

ILUZJONY —teatrzyki muzykalność Łodzi

Zamiast gadek wieczornych — teatr, koncert, teatrzyk, „kinematograf", skäting. Restauracja, bar — najnowszy wymysł ludzkich gastronomicznych zainteresowań. Przed wieczorem — cukiernia.

„Tak zwanych „Barów" jest kilka przy ulicy Piotrkowskiej" — objaśnia nas „Przewodnik", a jako nowość cieszą się niesłabnącą frekwencją. Są niedrogie, przystępne — „demokratyczne". Bardziej elegancko jest zasiąść w ładnej sali którejś z hotelowych restauracji lub u Inisa, dawnego Stępkowskiego, przy ulicy „Pasaż Majera". Punkt doskonały, ulica cicha, restauracja mała, wykwintna, jedzenie pierwszorzędne.

Z cukierni wciąż jeszcze najbardziej uczęszczany jest „Rożek" — cukiernia Roszkowskiego, tuż, bliziutko, na rogu Piotrkowskiej przy rogu tego właśnie pasażu, a potem Bartsch, dawniej Szmagier, którego cukiernicze wyroby, lody zwłaszcza, nie tylko w całej Łodzi ze swej dobroci słyną, ale złotymi medalami i dyplomem uznania nagrodzone zostały. Również na Piotrkowskiej, nieco dalej, pod numerem 28.

Panie z dziećmi chętnie zaglądają do mleczarni „Rogów", pod 59-ym, gdzie w znakomitym gatunku bywa śmietanka i bita śmietana i gdzie można nawet i obiadek niezły i „kolację smaczną i zdrową" dostać. W razie domowej katastrofy z kucharką — tu można bezpiecznie na obiad przyprowadzić rodzinę.

Najpełniej, najruchliwiej i — najgłośniej bywa wszędzie wieczorem. Ludzie spragnieni są rozrywki: najlepsza nawet restauracyjna porcja, najsmaczniejsze ciastko przy czarnej kawie w cukierni — nie wystarcza. Ludzie chcą się zabawić, chcą się pośmiać, rozweselić, czasami może nawet — wzruszyć. Więc...

„Do bardzo ulubionych widowisk należą obecnie przedstawienia kinematograficzne, które zwykle składają się z 6—8 obrazów: dramaty historyczne, sceny humorystyczne i widoki z natury. Przedstawienia zaczynają się zwykle o zmroku, kończą się o godz. 11. Do wytworniejszych można zaliczyć: „Casino", ulica Piotrkowska 67, „Odeon" — ulica Przejazd 2, „The Bio Express" ulica Zielona 2, „Moderne" w Grand Hotelu — „Luna" przy rogu Przejazdu i Piotrkowskiej".

Są jeszcze skromniejsze „iluzjony" — „Arkadia", „Illusion", „Moulin Rouge", „Oaza", „Optique Parisienne" — wszystkie wokół głównej ulicy zgrupowane i wszystkie oblegane przez nienasyconych widzów.

Dla spragnionych lekkiej, podniecającej, trochę pikantnej rozrywki — teatrzyki. Po całym dniu kantoru, biura, sklepu — tam odnajduje swój dobry, niewybrednego gustu humor liczna rzesza biuralistów, kantorowiczów, ekspedientów, akwizytorów. Cztery łódzkie teatrzyki „Varietes" czekają na nich. Lekkie piosenki, kuplety, monologi, tańce różnego rodzaju, charakteru i poziomu, występy akrobatów, żonglerów, odgadywaczy myśli — podobają się, wywołują frenetyczne oklaski. „Aquarium", „Corso", „Ermitage", „Urania" — zawsze pełne.

Są jednak i tacy, których nie nęcą tego typu rozrywki. Dla tych jest teatr i dość częste koncerty.

Jeszcze w 1886 roku „Dziennik Łódzki" w którymś z numerów lipcowych powiadamiał swych czytelników, że „nowa budowla przy ulicy Dzielnej pomieści salę koncertową", która z nadejściem zimy będzie mogła „służyć już do użytku publicznego", a w parę miesięcy później potwierdza tę wiadomość donosząc, że:

„nowy budynek J. Vogla z wielką salą koncertową i lokalem restauracyjnym przy ulicy Dzielnej jest już bliski wykończenia. Bliżej obeznani z postępem tej ładnej budowli utrzymują, że w nowourządzonych lokalach na pewno już w ciągu nadchodzącej zimy będą mogły odbywać się bale i koncerty..."

Sala ta, zwana „salą koncertową Vogla" nierozerwalnie splotła się z życiem muzycznym Łodzi. Życie to nie było szczególnie bujne, Łódź — jak wiemy — dość obojętnie odnosiła się do wszelkich przejawów sztuki, jednak już od szeregu lat odwiedzali ją przyjezdni artyści, nieraz o europejskiej sławie. Ostatnio, w roku 1912 ustalił się zwyczaj, że orkiestra symfoniczna z Warszawy przyjeżdżała regularnie raz na miesiąc do Łodzi i sala bywała jednak pełna. Występy znakomitych wirtuozów czy świetnych śpiewaczek stawały się oczywiście częściowo rewią snobizmu łódzkiej bogatej finansjery, wystawą piękności i brylantów strojnych małżonek milionowych fabrykantów — zawsze jednak znaleźli się i prawdziwi miłośnicy muzyki, którzy nie dla pokazania swej toalety czy biżuterii do sali Vogla dążyli, ot choćby ta, na galerii zgrupowana, muzykalna młodzież, która kształciła się w czterech łódzkich szkołach muzycznych.

Że Łódź nie była miastem zupełnie amuzykalnym — świadczy choćby zrzeszenie się polskiej ludności w kołach takich, z muzyką związanych stowarzyszeń, jak najstarsza spośród nich, jeszcze z 1892 roku założona — „Lutnia", posiadająca sekcję śpiewaczą i ogniskująca inteligencję polską; takich jak Rzemieślnicze Towarzystwo Śpiewacze „Lira", rozporządzające wcale pokaźną biblioteką muzyczną, a istniejące od 1900 roku, jak wreszcie w 1907 roku zorganizowane Towarzystwo „Harmonia", którego celem było i jest rozwinięcie zamiłowania do muzyki, śpiewu i dramatycznej sztuki. Toteż ono właśnie jest najczęstszym organizatorem koncertów i wieczorków wokalno-muzycznych; ono dzięki energicznej działalności i staraniem prezesa Łapińskiego posiada własną bibliotekę, złożoną z paruset tomów artystycznej i naukowej treści; ono prowadzi chór mieszany z sześćdziesięciu osób złożony, a co najważniejsze — ogniskuje polską „młodzież mniej zamożną, urzędników kantorowych, buchalterów, nauczycieli, telefonistki — słowem młodzież pracującą, która w chwilach wolnych znajduje w Towarzystwie szlachetną i pouczającą rozrywkę, uczy się zbiorowego życia"...

Ta młodzież jednak, niestety, nie często trafia do pięknej sali przy ulicy Dzielnej, nie pozwalają na to chude zazwyczaj kieszenie ludzi pracy...

Poza szkołami muzycznymi pracuje jeszcze w Łodzi i ma jednak pole do tej pracy kilkudziesięciu prywatnych nauczycieli i nauczycielek muzyki, istnieją przecież aż cztery składy fortepianów (Józef Grzegorzewski na ulicy Piotrkowskiej, Kulesza — Andrzeja 1; pięć składów nut (największy wybór w łódzkiej filii warszawskiej firmy Gebethnera i Wolffa) i kilka mniejszych i większych składów instrumentów muzycznych. Adolf Darcz z Wólczańskiej znakomicie reperuje wszelkie instrumenty, kto zaś ciekaw jest nowoczesnych mechanicznych przyrządów muzycznych — u Karola Michalskiego przy Piotrkowskiej 225 — w jego zasobnym domu komisowo-handlowym — poza zwykłymi instrumentami różnych typów i orkiestriony nawet nabyć może!

Nie wszystko to jeszcze oczywiście, co w związku z umuzykalnieniem się Łodzi w interesującym nas roku 1912 powiedzieć można! Istnieje tu przecież jeszcze i do krzewienia zamiłowań muzycznych wielce się przyczynia „Towarzystwo Muzyczne imienia Chopina", które zawiązawszy się w roku 1909 już teraz, po paru zaledwie latach działalności, posiada własną, pięćdziesięcio-osobową orkiestrę, blisko stuosobowe chóry mieszane i męskie oraz kilku wybitnych solistów i solistek. Ono też parę razy do roku daje koncerty własne: poważne, symfoniczne, lub popularne, łatwiejsze, z programem złożonym z arii operowych, uwertur i pieśni.

PROCES O SCHEDĘ

str. 5

szkole bez mała trzydzieści lat. Przed nim kierował tą szkołą jego ojciec. Zdarza się tak często, że syn po ojcu obejmuje warsztat pracy. Syn z ojcem pracowali w tej samej gromadzie prawie pół wieku. Pół wieku pracy! Jak do tego doszło, że o te lata pracy nie upomniał się nikt inny poza księdzem? Ludzie zwykli upraszczać zagadnienie. Ludzie dużo mówią o konflikcie, jaki nastąpił między starym nauczycielem, a jego następcą, nawiasem mówiąc, byłym jego uczniem. Albowiem mijały lata i nasz nauczyciel musiał w końcu przejść na emeryturę. Początkowo stary emeryt (jeżeli tym mianem można nazwać człowieka sześćdziesięcioletniego!) mieszkał w szkole. W tym samym budynku, w którym uczył jego ojciec (od 1910 roku), gdzie tyle przeżył dobrych i złych chwil: wesele dwóch sióstr i pogrzeb dwóch innych sióstr. W tym domu przeżył okupację, tę wiejską szkołę zwykł był uważać za dom rodzinny. No, ale trudno pomieścić dwie rodziny w jednym mieszkaniu. Stary emeryt wyprowadził się do sąsiada Sody, niezwykle życzliwego i uczynnego człowieka.

Czy można sobie wyobrazić teraz takie rozwiązanie sytuacji: młody nauczyciel przychodzi do emeryta i powiada: — Mój nauczycielu! Wybacz, że z mojej przyczyny musiałeś opuścić ten dom, inaczej być nie mogło. Ale tyś sadził ten ogród, z którego ja mam teraz zrywać owoce. Tyś przez ćwierć wieku uprawiał tę ziemię, która jest przy szkole. Weź ten rząd jabłoni. Dopóki będziesz chciał — twoje będą owoce z tych drzew. Weź sobie ten zagon. Dla mnie to niewielka strata. Oddaję ci przecież tylko niewielką cząstkę. Ale przede wszystkim nie uważaj się za emeryta. Nie możesz być emerytem. Jesteś potrzebny. Będę przychodził do ciebie po rady. Jesteś starym, doświadczonym nauczycielem. Możesz mi służyć niejedną wskazówką. Nie, nie jesteś starym. Nie wolno ci być starym. Musisz od czasu do czasu wpaść do szkoły opowiedzieć dzieciom o tej przeszłości, której nie znają. Musisz nadal pracować. Musisz pracować.

Nam, niewtajemniczonym sceptykom, wydaje się taki przebieg wypadków nierealną sielanką. Czy jednak można było ułożyć współżycie młodego i starego nauczyciela na tego rodzaju zasadach? Można było. Nawet bez tej sielankowej wzmianki o wydzieleniu części ogrodu i zagona.

Stało się inaczej. W miejsce uznania pojawiła się złość i obmowa. Były fakty zamykania studni „bo emeryt to gruźlik, więc może zarazić". Świnia zdechła — to wina tego gruźlika. Gdyby kura zdechła to także za przyczyną tego samego starego. Istotnie, stary nauczyciel leczył gruźlicę w Tuszynku pod Łodzią. Fałszywa duma nie pozwala młodemu przyjść do starego. Były urazy. Urazy rosły. Nie było chęci nawiązania przyjaźni, która istniała między ojcem młodego nauczyciela i starym emerytem. Łańcuch przyjaźni się zerwał. Tradycja została przerwana, nie zdołały porozumieć się pokolenia.

Stary emeryt gasł. Wyleczył gruźlicę, ale słońce zamykało przed nim swoje powieki. Są rzeczy ważniejsze, niż własnoręcznie zasadzona jabłoń. Są rzeczy ważniejsze niż zagon ziemi. Emeryt miał smutny koniec. Stary nauczyciel był rozgoryczony, zmrożony nieufnością i niechęcią. Napisał nawet skargę. Przyjechał kontroler, ale w myśl biurokratycznego zwyczaju wyjaśnienia szukał u sprawcy zdarzenia; głos powoda był nieistotny, głos sprawcy był miarodajny. Powód „nie rozumiał nowego czasu".

Powód gasł. Gasło jego serce. Kurczył się jego horyzont. Gorzkie stawały się myśli. Przeszłość zawsze oglądamy przez soczewkę bieżącej chwili. Jeśli chwila obecna jest gryząca, to i życie przeszłe zasłonięte jest czarną kotarą. Jeżeli chwila bieżąca upływa w pogodzie rejowskiego opisu, to i przeszłość ukazuje się nam w pogodnych barwach. Emeryt widział nad sobą czarną chmurę. Czuł się osamotniony i zbędny. I nie na gruźlicę umarł, zgasł na serce.

Młody nauczyciel przyszedł poniewczasie z przeprosinami do wdowy. Wdowa przyjęła te przeprosiny. Stary nauczyciel oświadczył na parę chwil przed śmiercią, że nie ma żalu do młodego. „Gdyby tylko zechciał przyjść do mnie". Nie wierzył, że tamten przyjdzie. Stary nauczyciel rozumiał teraz ten spór inaczej niż na początku. Nie bawię się w odgadywanie myśli. Zestawiam tylko fakty. Nie kieruje mą ręką chęć wybielania czy oczerniania pojedyńczych osób. Nie oskarżam młodego nauczyciela. Rysuję jego konflikt, w którym został uwikłany tylko w małej części z winy swojego charakteru.

Nad grobem przemawiali koledzy nauczyciele. Przemawiali pięknie. Po każdym przemówieniu ksiądz uchylał biret i lekko skłaniał głowę. W podzięce za piękną formę i piękną treść. Treść była zgodna z obrazem zmarłego, jaki nakreślił ksiądz w kościele. W tym geście podzięki zawarła się chyba symbolika tego zdarzenia. Słońce padło po raz ostatni na wysuszoną twarz Feliksa Dyszewskiego, nauczyciela z kieleckiej wsi. Zabito trumnę. Murarz zamurował grób. Złożono kopiec wieńców i kwiatów. Prosty człowiek odszedł.

Żegnano prostego człowieka. Nie poetę, nie uczonego, nie zwycięskiego wodza. „Pozostały w nieutulonym smutku wdowa i dzieci", ale nie pozostały żywe tradycje, gdyż ich nie podjął młody nauczyciel. Młody nauczyciel opuścił swojego starego mistrza, opuścili go i inni. Porzucono pół wieku pięknej i ofiarnej pracy — i tu tkwiła istota dramatu. Chcę, nieproszony, targować się o życie nauczyciela. Chcę wytoczyć proces o jego schedę, wbrew tym, którzy jej nie chcieli przyjąć, którzy nią pogardzili.

TADEUSZ PAPIER.

HORACY SAFRIN

Wiersze

z cyklu: „JUDAICA"

SIELANKA O WĘDROWNYM TEATRZE ŻYDOWSKIM

Uliczkami, wokół fary,
przycupnęły domki szare.

Dołem rzeczka, górą mostek,
błoto sięga ci do kostek.

Jeśli w przeddzień świąt tam trafisz,
na parkanie pstrzy się afisz.

Brać aktorska na popasie
nowość gra: „Sierotę Chasię".

W szopie karczmy — nie inaczej! —
wre robota jak się patrzy.

Trzeszczą belki, lecą wióry,
duża lampa zwisa z góry.

Płyną przez otwarte wrota
rzemieślnicy, lud, biedota...

W krzesłach się rozsiadła władza.
W poprzek sceny amant chadza.

Amant bardzo dziś się dąsa
i poprawia krepę wąsa.

W niebogłosy drze się diwa.
Pot rzęsisty szminkę zmywa.

Śladem zmarszczek, w pudru pyle
świecą łezki krokodyle.

Komik z przyprawioną brodą
miota się, jak rak pod wodą.

pogwizduje, sapie, chrząka,
zmyśla sprośne powiedzonka...

Pan dyrektor w szapoklaku
ma w kieszeni garść miedziaków.

Czoło w fałdach, myśl dokucza:
„Jak tu przetrwać do pojutrza?"

W dół opuszcza się kurtyna
i w pół drogi się zacina.

Noc żydowski teatr chłonie,
znów miasteczko w ciszy tonie.

Górą mostek, dołem rzeczka,
jak za czasów króla Ćwieczka.

Gasną izby, szyby wilgną,
księżyc do okiennic przylgnął.

EXODUS 1957

Stare, wadliwe pudło
młodzieńcze sny me przemyca.
Niebo sczerniałe wychłódło,
kapie seledyn księżyca.

Flaga się modrzy — i blado
na maszcie tęsknot łopoce.
Cienie przeszłości się kładą
na dni lękliwe i noce.

W pamięć ropiącą, zatruta
śpiew obłąkany, daleki
żałobną wpija się nutą:
jak rdzawe getta zasieki.

Bezkrwisty upiór rozpaczy
na burcie statku się wiesza
Oczom bolącym majaczy
pustynna wizja Mojżesza.

Rwie wyobraźnia z kopyta...
Niebo jutrzenką dnieje.
Brzegiem ojczystym nas wita
przylądek złotej nadziei.

ELEGIA O KAINOWEJ ZBRODNI

Kain żuł strawę. Chewel leżał w piachu.
Na nieboskłonie dogorywał zachód.

Czerniały ślady krwi, jak zwiędłe róże.
Kain miał czkawkę: „Zalim brata stróżem?"...

Ucichły wichry, zaniemiały pieśni.
Zwierzęta polne i ptaszkowie leśni

i rybki złote, pluskające w rzekach
wieść podawały: „Człek uśmiercił człeka!"

A Kain leżał pośrodku doliny,
na martwych wargach wykwitł uśmiech siny...

O zmierzchu zasie, gdy pogasły nieba,
szli Adamowie ciało Chewla grzebać.

Poprzez ostępy leśne i mokradła
śmierć ich wodziła — obca, nieodgadła.

A kiedy zaszli po ciemku, w mozole:
ogień się palił na Kaina czole.

RYSZARD KUSTRZYŃSKI

Dziecięca sztuka

Z beczki wysunął się do połowy czarny diabeł. A właściwie może siedzi na niej, bo nóg prawie wcale nie widać, uszminkował sobie usta, podczernił brwi i rozłożył ręce gestem kaznodziei, albo jakiegoś mówcy prowincjonalnego. Czyżby chciał straszyć — bo rogi ma takie duże, a może tumanić biednych Łęczyczan?

Jedno mgnienie oka i oto czarnymi ogonami zadymiło miasto kolorowych fabryk Marzenie Legera. Fantazja 10-letniego chłopca.

A teraz prawdziwa stara polska wieś, w której urodził się i wychowuje Krzyś. Pośrodku wioski kościół, obok karczma... Gdy rysowałem widok dawnej Kiernozi bardzo mnie on interesował. Stare domy, karczma, w której odbywały się potańcówki. Ludzie nie znali żadnych pojazdów tylko chodzili pieszo.

Oto kilka impresji z wystawy rysunków szkolnych urządzonej w Muzeum Sztuki w Łodzi. Tematem konkursu było:

1. Nasze osiedle (wieś, miasto) jego zabytki — architektura, rzeźba, rękodzieło.
2. Życie w osiedlu dawniej i dziś
3. Obrazki z historii osiedla.

Temat szeroki. Nawet aż nazbyt szeroki. Ale może właśnie dzięki tej rozmaitości konkurs bardzo ciekawy.

Około 500 prac nadesłanych z całego województwa i samej Łodzi.

Bajeczne, udziwnione światy siedmiolatków i nagi realizm 14—15-letnich: suchy, uporządkowany, jak gdyby zabrakło w nim życia i ten drugi, krwisty, pełne radosnego temperamentu.

Wszystko jak u dorosłych. Może tylko bardziej szczere. I dlatego jakiś niezmiernie bliski musi wydać nam się prymitywny rysunek 12-letniego Dzida z Woli Gułowskiej. Zinterpretował go sam autor na odwrotnej stronie:

„Moje miasto". Rys. Elżbieta Litwinowicz, lat 11

„Rysunek przedstawia gospodę gromadzką ze straganem z wódką i zakąski, piący tu kupują i idą do gospody pić, a potem bijatyka. Kobiety z dziećmi przychodzą po mężów i ojców. Wracają zaplakane. Pieniądze przepite, dobrze jeszcze, że bariery od trawników utrzymały się, ale i tak często są powyłamywane".

Swoiste ujęcie tematu. W nowoczesnej sztuce dorosłych obrazek już nie spotykany, a przecież dla dziecka codziennie aktualny. Kto wie, może to jakiś dziecięcy, gorzki realizm krytyczny, nieczuły na przemijalność prądów artystycznych, nieświadom mody panującej w sztuce.

Poziom prac był nierówny. Z nadesłanych 500, wybrano około 200, ale i wśród tych są wielkie różnice. Oryginalność niektórych czasami zdaje się podważać wszelkie kryteria o dojrzałości i w ogóle o stosowaniu takiego pojęcia w sztuce. Oczywiście o tej dojrzałości, której często z racji samej dojrzałości przyznaje się wartość i autorytet w sztuce. Czymże różni się wartość wyspekulowanej intelektualnie dojrzałości w sztuce od emocjonalnych wrażeń niedojrzałej szczerości, jeśli dzieło w jednakowym stopniu pobudza nasz smak artystyczny?

„Legenda o Borucie" — Rys. Danuta Jezierska kl. III, Topola Królewska, pow. Łęczyca

Kolorem szczególnie zaskakują prace z malarskiej pracowni MDK w Łodzi. Osobiście wiele z nich nie powstydziłbym się zawiesić we własnym pokoju. A nadto godne podziwu drzeworyty. Momentami rodzi się podejrzenie: ile w nich dorosłej ręki, a ile dziecięcej.

Wystawa naprawdę bardzo ciekawa.

Najostrzejsze OŁÓWKI ŚWIATA

ALBERT DUBOUT

albo

szpetny, wesoły świat

Okrutny, bezlitosny w obnażaniu brzydoty i głupoty — a jednak śmieszny. Więcej takich paradoksów znajdziemy w dowcipach rysunkowych Alberta Dubout. Jest on zjawiskiem w karykaturze światowej tak specyficznym i wyjątkowym, że nawet ci, którzy go chcieli naśladować, porzucili rychło swoje próby.

(W Polsce usiłował tworzyć podobne kompozycje Jerzy Karcz — bez większego powodzenia).

Na nic się nie przyda wyliczanie nazwisk, które mogły mieć wpływ na Dubout. Jedni wywodzą jego karykaturę od Honore Daumiera, inni widzą protoplastę tych rysunków w Breughelu. Jeszcze ktoś wiąże twórczość Dubout z literaturą antymieszczańską — i pewno też ma trochę racji. Tylko trochę, bo mimo wszystko francuski humorysta wykracza daleko poza drwinę z mieszczaństwa.

Dubout ośmiesza brzydotę świata. Robi to jednak inaczej, niż makabryczny i niepokojący Addams. Francuz zaludnia swe żarty dziesiątkami odrażających postaci, zawsze tymi samymi. Baby jak armaty, skretyniali policjanci, idiotyczni brodacze, drągale i karzełki — oto bohaterowie tych wielkich kompozycji.

Zadziwia mechanika rysunków Dubout. Gdy weźmiemy je do ręki, w pierwszej chwili ogarnia nas przerażenie, które potem przeradza się w śmiech. Rzecz w tym, że każde przesadne nagromadzenie, nawet odrażającej szpetoty musi śmieszyć. Dodajmy jeszcze: owi szpetni ludzie postawieni są zawsze w jakiejś kłopotliwej sytuacji. To potęguje komizm.

Żarty Dubout opracowane są do najdrobniejszych szczegółów, każdy dowcip zastępuje przeczytanie noweli, lub raczej humoreski. Można je oglądać przez kilka minut, ciągle znajdując jakiś zabawny szczegół.

Dubout należy do starszego pokolenia rysowników francuskich (urodził się w 1905 roku). Drukuje żarty od blisko 30 lat — od samego początku demonstruje swoisty dowcip i styl rysowania.

Obok drukujemy jeden z wcześniejszych rysunków Dubout, żart o jąkale, pochodzący z 1933 roku. Prawda, że nic się ten dowcip nie zestarzał?

J. W.

— Przepraszam pana, gdzie tu jest stacja?

Bez podpisu

— Czy moja brzytwa jest już naostrzona?

— Gdy jąkała nie może wykrztusić sakramentalnego „tak"!

GOLONO STRZYŻONO

Żądania

Przedstawiciele studentów uniwersytetu Walla-Walla (Waszyngton, USA) oświadczyli, że podniesienie stypendiów, jest konieczne z tej już chociażby racji, że wielu spośród stypendystów, z powodu wysokich cen benzyny, nie jest w stanie przyjeżdżać na wykłady swymi autami.

Apel

W czasie dorocznych uroczystości obchodzonych przez mniejszość duńską w Tönning (Szlezwig-Holsztyn) jeden z przywódców mniejszości, Svend Johannsen, oświadczył po niemiecku: „To wstyd, że na wielu zebraniach mniejszości „musi być używany język niemiecki". Większość bowiem mieszkańców północnego Szlezwigu- Holsztynu, którzy zaraz po wojnie zadeklarowali się, iż są narodowości duńskiej, nie zna w ogóle duńskiego.

Prośba

We „Freiburger katholischen Kircheblatt" ukazało się ogłoszenie następującej treści:

WYSOKIE PROCENTY!

Głęboko religijna nauczycielka prosi o pożyczenie 1000 marek. Kierować pod W 3189.

Surowe obyczaje

Z powodu „współpracy z wrogiem" — jest to zarzut karany w Egipcie śmiercią — niejaki Fahmy Kewfik został wezwany do stawienia się przed Kairskim Sądem Wojskowym. Czterdziestoletni Kewfik wyprał mianowicie koszule kilku żołnierzom brytyjskim w czasie okupacji strefy kanału sueskiego przez oddziały francuskie i angielskie w listopadzie 1956 roku.

Reklama

Ogłoszonie z brytyjskiego magazynu kobiecego „Womans Life": „Także i dla Pani doskonały biust dzięki naszemu witaminowemu kremowi! Już po czterech tygodniach namacalne rezultaty".

Artykuł zastępczy

We wschodnioberlińskiej gazecie wieczorowej „BZ am Abend" w numerze z 8 maja br. w dziale korespondencji znajdujemy taki oto list jednego z czytelników: „W sklepie HO z artykułami przemysłowymi, Berlin--Pankow, Florastrasse 18, na pytanie 72-letniej rencistki, czy jest papier toaletowy, sprzedawczyni odpowiedziała: „Nie, lecz otrzymaliśmy dużą partię papy dachowej".

Piękna młodość

Radio Pekin nadaje ostatnio bardzo często piosenkę, która zaczyna się od słów: „Droga matko, chciałbym pójść w pole, aby przywyknąć do pracy fizycznej".

Wyroki losu

Bezpośrednio po udzieleniu w Watykanie błogosławieństwa tysiącu posiadaczy samochodów — dwa samochody uległy katastrofie. Ich kierowcy odnieśli rany, same zaś wozy zostały całkowicie zniszczone.

Ogniści Austriacy

Jak wynika z opublikowanej przez ONZ statystyki, w Austrii rodzi się najwięcej w świecie dzieci nieślubnych. Jeśli bowiem w NRF co szósta, a w Szwecji co dziesiąta — to w Austrii prawie co piąta mamusia nie ma "ślubnego męża".

Przyroda i giełda

Gdy tylko amerykańska służba mateorologiczna ogłosiła zbliżanie się trąby powietrznej w kierunku miasta Jacksonville (Floryda, USA), pośrednik handlowy Jesse Lestring polecił podać za pośrednictwem miejscowej rozgłośni, że „do chwili nadejścia tornado ceny wszystkich budynków zostają obniżone o 25 procent". Kiedy tornado minęło, ten sam Lestring ogłosił nowy komunikat: „Liczne oferty za lekko uszkodzone domy po sensacyjnie obniżonych cenach! Wykorzystajcie państwo tę jedyną szansę!

Ach, te kobiety

Zawodowy pięściarz Rodger de la Perte oświadczył w wywiadzie dla dziennika

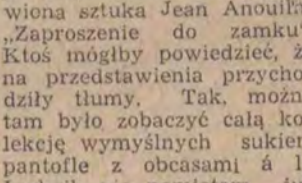

„Figaro": „Jeszcze przez żadnego przeciwnika w ringu nie zostałem tak strasznie pogryziony, podrapany i pobity, jak przez kobiety z pierwszych miejsc".

O Anouilhu

W jednym z dzienników ukazał się artykuł pt: „Gdy repertuar teatralny odrywa się od problemów naszej epoki". Znajdujemy tam następujące uwagi z okazji wystawienia jednej ze znanych sztuk Anouilha: „...niektóre z naszych scen, zainteresowane przypuszczalnie innymi sprawami niż sprawa wychowywania człowieka, zaczęły wystawiać sztuki, które w najmniejszym stopniu nie odpowiadają społecznemu posłannictwu naszego teatru. Wydaje się, najbardziej wymownym tego przykładem jest wystawiona sztuka Jean Anouilha „Zaproszenie do zamku". Ktoś mógłby powiedzieć, że na przedstawienia przychodziły tłumy. Tak, można tam było zobaczyć całą kolekcję wymyślnych sukien, pantofle z obcasami á la Ludwik nie pamiętam już który, damulki bardziej lub mniej młode, uczepione u ramion mężów, oczywiście ludzi interesu, „wspaniałe" panienki z „końskimi ogonami" szczebioczące po francusku, ich partnerów ostrzyżonych á la Cezar itd. Ludzi, którzy przychodzili na to przedstawienie, przyciągały nie tylko wspaniałe toalety i imponujące kandelabry zamku, ale przede wszystkim fakt, że bohaterowie ze sceny, cynicy, pasożyci, osoby zmęczone bogactwem, były im bliskie, a filozofia ludzi ze sceny pokrywała się z ich własną filozofią życiową. Anouilh pod pretekstem pozornego i uproszczonego konfliktu między bogaczami i ludźmi biednymi, propaguje słodkie, niczym nie zakłócone współżycie antagonistycznych klas".

Wszędzie biurokracja

Pewien dziennikarz niemiecki, nazwiskiem Ditrich Wawrzon, który objechał świat dookoła i odwiedził 35 krajów, oświadczył, że wszędzie spotkał się z tą samą przeszkodą: z biurokracją.

Wizyta przyjaźni

Milton Eisenhower, brat amerykańskiego prezydenta, zamierza udać się do Południowej Ameryki z wizytą przyjaźni. Po przykrych doświadczeniach wiceprezydenta Nixona, FBI wysłało swych agentów do miejscowości, które odwiedzi Milton Eisenhower, ażeby zażądać tam zastosowania prewencyjnego aresztu wobec „elementów niepewnych".

Przeciw pijakom

„Prawda" zamieściła niedawno artykuł wstępny poświęcony walce z alkoholizmem. Czytamy tam, iż „w transporcie alkoholizm prowadzi niejednokrotnie do poważnych awarii. Na wsi wiele szkody wyrządzają pijatyki organizowane w dni świąt kościelnych. Rozpowszechnione w wielu miejscowościach pędzenie samogonu prowadzi do marnotrawienia wartościowych artykułów żywnościowych". Artykuł „Prawdy" jest jednym z epizodów toczącej się od dłuższego czasu w ZSRR batali przeciwalkoholowej.

Jak robić kasę?

Podczas meczu należącego do przedfinałowych rozgrywek piłkarskich mistrzostw świata — miejsca na ławkach na trybunach stadionu Ullevi w Göteborgu, posiadające moralnie po 50 cm szerokości, zostały zwężone o 2 cm każde. Dzięki temu kasy stadionu uzyskały dodatkowy dochód sięgający około 20 tysięcy dolarów!

Tradycje

5-ty batalion sanitarny 5-tej dywizji pancernej w Koblencji (NRF) wprowadził do swego herbu, przyjętego z okazji zaprzysiężenia rekrutów, „Madonnę spod Stalingradu" (rysunek Matki Boskiej z Jezusem, przybity na płocie jako plakat w kotle pod Stalingradem w okresie świąt Bożego Narodzenia w 1942 roku).

Strzelec

Pewien policjant w mieście Corpus Christi (Texas, USA) przyłapał przestępcę na gorącym uczynku. Usiłował go zatrzymać i wystrze-

lał cały magazynek rewolweru, ani jedną kulą nie trafiając jednak złoczyńcy. Rozwścieczony, rzucił wówczas rewolwerem w uciekającego. Przestępca trafiony, padł bez zmysłów na ziemię.

GOLONO STRZYŻONO

ADAPTACJA POWIEŚCI ANDRZEJA OSTOJI

aspazja

ILUSTR. JBIS-GRATKOWSKI

— 43 —

Trudno opisać, jak była piękna. Może umiałby to zrobić stary Homer lub Dante, lecz nie ja — skromny dziennikarz. Jakimi słowami opisać dumę, blask i żar jej spojrzenia, nieskazitelność rysów, słodycz ust, smukłość sylwetki i doskonałość jej kształtów? Tak mogła wyglądać Afrodyta wynurzająca się z morskiej piany lub rzymska Junona.

Amarantowa chlamida spływała po niej w gęstych fałdach i załamaniach, ale poprzez tkaninę przeświecało jej ciało młode, różowe i nieskazitelne — tak piękne, jakby było nieprawdziwe.

Włosy miała długie, złote, rozdzielone modą grecką na dwie strony nad czołem i upięte w ciężki węzeł klamrą wysadzaną brylantami.

Oczy w kształcie migdałów, podłużne, wilgotne, zielone zielenią lasów i wód morskich. Oczy mądre, chłodne i namiętne jednocześnie. Oczy porywające i okrutne. Oczy urzekające i złe. Oczy straszne.

Czarne, skośne brwi jak skrzydła jaskółcze rysowały się nad tymi niezwykłymi oczami. W ich kształcie było jakby jakieś stałe zdziwienie, jakby kaprys bogini, coś z uśmiechu i coś z drwiny.

Usta jędrne i ciepłe, mocno czerwone, zmysłowe, zarysowane pięknie jak u królowej Nefretete.

Na czole, nad pięknym, prostym nosem miała małą, czerwoną plamkę, jak się spotyka u kobiet z wysokich kast w Indiach.

Na włosach miała niedużą koronę w kształcie kwiatu o siedmiu łodygach wysadzanych brylantami. Na smukłej szyi lśnił naszyjnik z brylantów, a na rękach i nogach niezliczone bransolety rozsiewały tęczowe blaski. Cała postać była lśniąca, promieniejąca, barwna, wspaniała, nieziemska.

Miała w sobie coś z rzeźby greckiej. Takie wysokie, smukłe, zgrabne kobiety były przed tysiącami lat modelkami Fidiaszów i Praksytelesów. Była to

— 44 —

piękność klasyczna i tak nieśmiertelna jak piękno starej Grecji.

Kobieta obrzuciła nas czujnym, zimnym spojrzeniem. Podniosła do góry rękę. Ostrze berła skierowała w naszą stronę i poczuliśmy, jak z niego począł się sączyć jakiś prąd. Trafiał do naszych źrenic, przenikał do serc... i serca nasze wzbierały straszliwą tęsknotą.

Staliśmy nieruchomo, pełni zdumienia, oczarowani, bezgranicznie zachwyceni. Tylko oczy mieliśmy szeroko rozwarte, a usta szeptały urywane słowa.

Rozległ się jej głęboki, altowy głos. Mówiła wolno, niezbyt głośno, jakby z pewną trudnością i zdawało się, że starannie dobiera słów .

Był to język starogrecki, język Platona i Sokratesa. Prócz mnie nikt tutaj tego dawno zapomnianego języka nie znał. Tylko ja jeden na „Glorii" prócz technicznego, miałem wykształcenie filologiczne i znałem języki starożytne. Zdecydowałem się pełnić rolę tłumacza.

Na usta cisnęło mi się tysiące pytań. Skąd się tutaj wzięła ta kobieta wśród pszczół? Jak i kiedy tutaj zawędrowała? Czy to jest owa dawna uciekinierka z Ziemi, jej córka lub wnuczka? Czy wywodzi się z Atlantydy? Czemu wygląda, zachowuje się i mówi jak starożytna Greczynka? Skąd w niej ta siła magnetyczna? Ach, spokojnie, spokojnie... Na rozwiązanie tej zagadki będzie jeszcze czas.

— Po co przybyliście na Marsa? — zapytała.

— Jesteśmy ludźmi nauki — odrzekłem. — Zbadaliśmy już wszystkie planety systemu słonecznego. Chcieliśmy od dawna zbadać i tę planetę... Ale ekspedycje nasze stąd nie powracały.

— Skąd wiecie, że Mars sobie życzy tych waszych badań?

— Tego nie wiemy, pani — odrzekłem.

— 45 —

— Jeśli nie wiecie, to wam powiem. Nie życzy sobie.

— Cóż więc mamy uczynić?

— Powrócić na Ziemię i nigdy już na nas nie najeżdżać.

— A kto ty jesteś, pani? — zapytałem.

— Ja jestem Aspazja, królowa Marsa .

— Ach! — zawołałem. — To o pani donosił Paavo Vituulen z VI ekspedycji.

— Być może — wzruszyła ramionami.

— A więc, pani — oświadczyłem — to się więcej nie powtórzy. Z chwilą gdy nasze pragnienie wiedzy zostanie zaspokojone, chętnie powrócimy do domu... I tak uczynimy, jak ty zdecydujesz. Jeśli nie chcesz więcej nas widzieć i nie chcesz utrzymywać sąsiedzkich stosunków z Ziemią, nigdy już nie odezwiemy się, ani nie powrócimy.

— Tego właśnie pragnę — powiedziała — wraz z całym moim narodem.

— Czy pozwolisz, pani — zapytałem — abym się naradził z naszym wodzem i całą załogą? Moi towarzysze nie znają języka greckiego.

Skinęła głową.

Koledzy wysłuchali mnie z niezwykłym zainteresowaniem i natychmiast powzięli decyzję.

— Pani — rzekłem — tu są zebrani uczeni światowej sławy. W układzie słonecznym byliśmy dotąd osamotnieni. Już nawet przypuszczaliśmy, że nie ma żywych istot na innych globach. Fakt, że na Marsie są również żywe stworzenia, jest dla nas niezwykle ciekawy. Interesuje nas powstanie tych istot, ich rozwój, cywilizacja, życie. Czy jej królewska Mość pozwoli, abyśmy odwiedzili jej państwo i zapoznali się z jego kulturą?

— W drodze wyjątku zgodzę się na to — odrzekła. — Jak chcecie to przeprowadzić? (d.c.n.)

Poemat przedmieścia

KSIĄŻKI dla naszego czytelnika

John Steinbeck zdaje się mieć szczególne powodzenie u naszych wydawców. „Grona gniewu", „Perła", zbiór opowiadań „Kasztanek", „Księżyc zaszedł", „Tortilla Flat" i wreszcie „Ulica Nadbrzeżna" — dają w sumie liczbę, do jakiej nie doszedł w ciągu ostatnich kilku lat żaden z wielkiej piątki Amerykanów. Pomijając fakt, że Dos Passosa jeszcze w ogóle nie wydano. Wśród tej liczby znajdują się pozycje słabsze, ale „Ulica Nadbrzeżna" na pewno do nich nie należy.

Sklasyfikowanie zawartości tej książki nie budzi żadnych wątpliwości. Robi to na wstępie sam autor: „Ulica Nadbrzeżna w Monterey, stan Kalifornia, to poemat, smród, śmietnisko zardzewiałej blachy, żelaza i połamanych desek, szczerbaty bruk, zarosłe chwastem place... Jak można schwytać żywcem poemat? Istnieją pewne płaskie stworzonka morskie, tak delikatne, iż jest prawie niemożliwe schwytać je w całości, bo pękają i rozpadają się przy najlżejszym dotknięciu. Trzeba zaczekać, aby podpłynęły i same wpełzły na klingę noża. I może właśnie w ten sposób należy napisać tę książkę: otworzyć stronicę i pozwolić opowieściom, żeby wpłynęły na nią same".

I otrzymujemy opowieść o przedmieściu. Opowieść o świecie skoncentrowanym na przestrzeni krótkiej ulicy, gdzie głównym ośrodkiem życia jest sklep spożywczy Chińczyka Lee Chonga, willa „Cichy Kącik", Laboratorium Biologiczne handlujące zwierzątkami „wysoce dostojny i moralny burdel". Opowieść o zwykłych ludziach zamieszkujących przedmieście; ze szczególnym rozpatrywaniem małej grupki mężczyzn — nie mających rodzin, pieniędzy i żadnych ambicji, poza jedzeniem, piciem i przyjemnym życiem. Podchodzą oni do przyjemnego życia rzeczowo, spokojnie i cieszą się nim umiarkowanie". Ludzie ci są złem koniecznym, niezbędnym uzupełnieniem specyfiki przedmieścia. Postacie książki są na wskroś realistyczne, nasycone prawdą życia. Chociaż w prozie tego typu nie ma miejsca na szczegółowy opis zewnętrznego wyglądu — każde słowo, zarysowany ostro ruch i gest określa znakomicie postać, nabiera właściwego znaczenia. Na podstawie zewnętrznych przejawów działania wyłania się wnętrze. Bohaterowie Steinbecka są obojętni na monotonię życia przedmieścia, powściągliwi, wiedzą wszystko, co się kiedykolwiek zdarzyło, wiedzą, że każde działanie skazane jest z góry na fatalizm powikłań.

„Ulica Nadbrzeżna" zdaje się uzasadniać określenie Johna Steinbecka jako pisarza najbardziej z wszystkich Amerykanów przywiązanego do dziewiętnastowiecznych wzorów prozy. Decyduje o tym przede wszystkim stosunkowo szeroko rozbudowany komentarz.

Łatwy i prosty styl, zaskakująco trafne określenia, pewien ładunek humoru — sprawiają, że książkę czyta się lekko, pogodnie.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

O „Czarodziejce światła"

Paryż lat 70-tych wrzał z oburzenia na Edwarda Maneta. Po wystawieniu jego „Olimpii" posypały się gromy oburzenia na artystę. Berta Morissot słyszała o nim, słyszała uwagi na temat jego obrazu, nie szczędził uwag i jej nauczyciel malarstwa Corot, między pouczeniami skierowanymi do swej uczennicy, by „płaszczyzny odtwarzała kreskami poziomymi, nierówności wypukłymi i wklęsłymi zgrupowanymi blisko dla zaznaczenia cienia. Berta cierpliwie i sumiennie rysowała kreski, ale ogarniał ją bunt. Krytycznego dnia była świadkiem zbiegowiska ulicznego i doraźnego wymiaru sprawiedliwości przeciwko człowiekowi, uciekającemu przed policją.

Ktoś zawołał, patrząc na pokonanego człowieka:

— Bandyta! Ci zbóje na nic więcej nie zasługują! Powinno się ich wykończyć wszystkich, ilu ich jest!

Jeden ze studentów, uchara-kteryzowany na Indianina stanął za plecami zasapanego jegomościa i wyjąwszy z kieszeni pudełko zapałek — podpalił mu polę surduta...

Krytycznego dnia Berta nie rysowała już więcej kresek i nie poprawiała więcej swoich rysunków. Zniszczyła je wszystkie. Zerwała z nauką u Corota. Zaczęły się samotne dni żmudnych poszukiwań, ogromnej, samotnej pracy, przykrości i upokorzenia, nieuznania przez opinię publiczną nowego kierunku zwanego impresjonizmem. Sklepikarze i sąsiadki nazywają teraz Bertę „impresjonistką", wymawiając to słowo z różną intonacją.

Dalej — dalej happy end. I dla Berty i dla impresjonizmu.

Ale nastąpiło to po wielu, latach, których dzieje interesująco opowiada Claude Damiens. Warto przeczytać i poznać Bertę Morissot, sławną we Francji, a bardzo mało znaną w Polsce!

TERESA KMIECIŃSKA

NASZA KRZYŻÓWKA

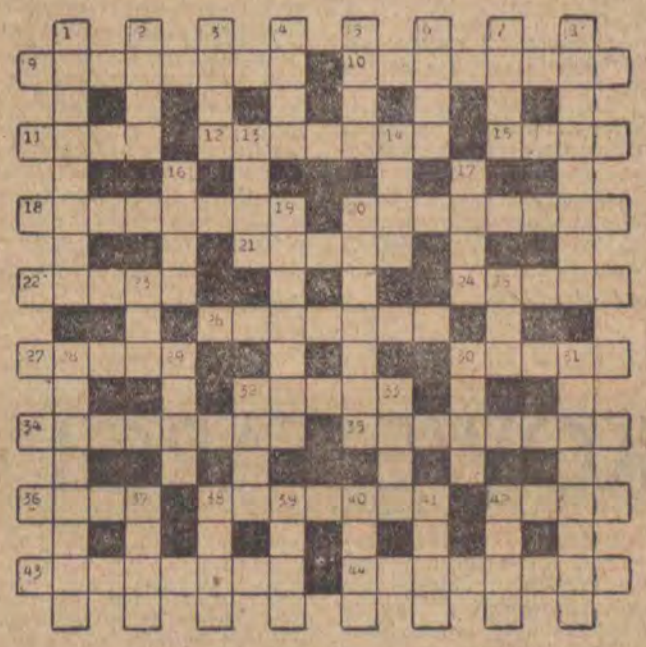

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 9) Umowa, układ, 10) Ptak, 11) Stulecie, 12) Szperka, kawałeczek podsmażonej słoniny, 15) Napój, 18) Ptak nocny, rodzaj sowy, 20) Farmaceuta, 21) Znaczek pocztowy, 22) Słup drewniany na statku lub na łodzi, 24) Bieg konia, 26) Jesień życia, 27) Jednostka natężenia prądu elektrycznego, 30) Lekka, przezroczysta tkanina jedwabna o powierzchni nie gładkiej, lecz w drobne fałdki zmarszczonej, 32) Liczba, 34) Dokonywanie spisu zapasów, jedna z faz inwentaryzacji, 35) Instrument muzyczny, 36) Wstrząs nerwowy, 38) Artysta operowy, 42) Wioska, 43) Wąski pas wody dzielący dwa lądy, a łączący dwa morza, 44) Stacja węzłowa na szlaku Warszawa — Katowice.

Pionowo — 1) Roztwór szelaku w spirytusie stosowany przy wykańczaniu powierzchni drewnianych dla nadania im połysku 2) Zbocze góry, 3) Planeta, 4) Sztuczne jezioro, 5) Wawrzyn, 6) Lewy dopływ Warty, 7) Aliaż, 8) Podwórze, 13) Półwysep na Morzu Czarnym, 14) 60 sztuk, 16) Kwaśny płyn, 17) Narodowość europejska, 19) Lokal rozrywkowy, 20) Artystka dramatyczna, 23) Niedobre, 25) Miara powierzchni, 28) Tytuł staropolski, 29) Skaleczenie, 30) Zewnętrzna część pnia drzewa, 31) Pieśń, 32) Wiązka słomy, 33) Papiery urzędowe, 37) Gnat, 38) Brzask, 39) Persja, 40) Żywność, 41) Pocisk lub przestrzenna figura geometryczna, 42) służy do wyrobu świec.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki z nr 16 wylosowali:

1. Janina Szmitkowska, Częstochowa, ul. Barbary 2 m. 1,

2. Stanisław Cynker, Łódź, ul. Bednarska 26 m. 74

ze str. 1

LIBAN

Sądzono, że Liban pozostanie oazą szczęśliwości i spokoju na wzburzonych falach arabskiego morza. Wydawało się przez wiele lat, że potężne fale nacjonalizmu arabskiego omywają tylko ten kraj, ale go nie naruszają. Wydawało się, że więź libańskich kupców z amerykańskim dolarem jest tak silna, iż kraj ten pozostanie przyczółkiem Zachodu. W czasie agresji na Suez Liban jako jedyny kraj arabski nie zerwał stosunków dyplomatycznych z Francją i Wielką Brytanią, a kilka miesięcy później znów jako jedyny kraj arabski przyjął doktrynę Eisenhowera, oddając swe porty na użytek siódmej floty amerykańskiej. To tu właśnie uzupełniały zapasy paliwa amerykańskie okręty wojenne, demonstrujące swą potęgę u wybrzeży Syrii w pobliżu Jordanii, podczas kolejnych faz bliskowschodniej penetracji imperializmu anglo - amerykańskiego.

Tak sądzono na Zachodzie, tak sądził prozachodni prezydent Libanu, Chamoun, i jego minister spraw zagranicznych Malik. Pomylili się.

* * *

W tym najdziwniejszym na świecie kraju rozpoczęło się najdziwniejsze w świecie powstanie. Przeciwko rządowi wystąpiła większość libańskich muzułmanów, widząc w ściślejszym związku Libanu ze światem arabskim wielką szansę na zdobycie większych wpływów w ojczystym kraju, uniezależnienia go. Przeciwko rządowi wystąpił najwyższy autorytet chrześcijański, patriarcha Maronitów — Meuszy, skłócony zresztą z podległymi sobie biskupami, wiernymi dla odmiany rządowi. Przyłączyli się do powstania komuniści, którzy w Libanie mogą legalnie rozwijać działalność polityczną w przeciwieństwie do komunistów wszystkich innych krajów arabskich. Przyłączyli się do powstania zacięci polityczni i klasowi wrogowie komunistów — feudałowie Druzów, szczepu arabskiego, których przywódca jest osobistym wrogiem prezydenta Chamouna. Ów właśnie wódz zebrał 3 tysiące wojowników i ruszył z gór na Bejrut.

Opozycja, która wszczęła powstanie przeciwko rządowi, jest więc podzielona do ostatecznych granic. Łączy jej najróżniejsze ugrupowania jedynie wola obalenia rządu Chamouna i chęć zastąpienia go przez rząd o zabarwieniu neutralnym. Okazało się, że kupcy libańscy owszem, lubią dolary, ale właśnie dlatego uważają, że najbardziej wymarzoną pozycją dla kupca jest neutralność. Typową zresztą to postawa średniej burżuazji. Neutralność popłaca, neutralność owocuje złotymi jabłkami, neutralność może zapewnić więcej dolarów, więcej zysków bezpośrednich i pośrednich, na dziś i na jutro.

Potomkowie Fenicjan umieją liczyć, umieją przewidywać. Dlatego też kiedy podano do publicznej wiadomości, że proamerykański prezydent Chamoun ma zamiar kandydować po raz drugi i okupować fotel prezydencki jeszcze 6 lat, co w konsekwencji oznaczałoby utratę tej neutralności i już nie podszyty słabością do dolara flirt, lecz przymusowe małżeństwo z Zachodem — w Libanie padły pierwsze strzały.

Niechęć i lęk przed tym mariażem, w którym dominującą rolę grałaby nie słabsza połowica — średnia burżuazja, owi libańscy kupcy, lecz silny i brutalny pan i władca — imperializm i jego interesy — objawia się wyraźnie w enuncjacjach libańskiej opozycji. Ta niechęć obiektywnie bierze się też z nacisku na tę burżuazję wyzwoleńczego, antykolonialnego ruchu świata arabskiego.

„Jesteśmy Libańczykami, przyjaciółmi Zachodu. Jeśli Zachód będzie szanował naszą niezależność i naszą neutralność i nie będzie wtrącał się do naszych spraw wewnętrznych... Jesteśmy Libańczykami Arabskimi i nie możemy być obojętni wobec ruchów wyzwoleńczych, które ogarniają kraje arabskie i nie możemy nie łączyć się z nimi i nie popierać ich" — pisał niedawno Abdallah Jafi, jeden z przywódców opozycji.

Jak już wspomniałem, opozycja jest niebywale zróżnicowana. Kiedy zaczęło się powstanie, na domach Bejrutu, zwłaszcza w jego muzułmańskiej dzielnicy zakwitły setki flag Zjednoczonej Republiki Arabskiej i pojawiły się setki portretów prezydenta Nassera — symbolu dążeń radykalnego skrzydła nacjonalistów. Z drugiej jednakże strony większość opozycji nie chce przyłączenia Libanu do Zjednoczonej Republiki Arabskiej. Kupcy — neutraliści pragną dobrych stosunków z Egiptem i Syrią, ale nic więcej. Zresztą stopa życiowa Libanu i Zjednoczonej Republiki Arabskiej jest tak różna, że o zjednoczeniu nie może by mowy. W każdym razie Liban nie jest w nim — rzecz zrozumiała — zainteresowany i większość Libańczyków nie ma zamiaru dzielić swego dochodu narodowego ze Zjednoczoną Republiką Arabską.

Jakie siły opowiadają się za rządem? Siły te są równie zróżnicowane jak i opozycja. Obok żandarmerii i policji walczy przeciw powstańcom falanga, organizacja chrześcijan libańskich, broniąca więzów Libanu z Zachodem w obawie przed ewentualną utratą swych pozycji na rzecz świata muzułmańskiego. Walczą przeciw powstańcom populiści, marzący o utworzeniu wielkiego państwa arabskiego pod berłem Iraku. Armia w tej dziwnej wojnie domowej nie bierze, jak dotąd, pełnego udziału, raczej rozdziela strony walczące niż walczy. Ta armia składa się z 7 tysięcy zawodowych żołnierzy i oficerów. Jej dowódca Chebeb znany jest ze swej prozachodniej orientacji, ale równocześnie posiada duży autorytet w kraju i tylko on w zasadzie może być mediatorem między walczącymi stronami. Rzucenie armii do walki przeciwko powstańcom rozbiłoby ostatnią więź łączącą to skłócone społeczeństwo. Armia składa się zarówno z muzułmanów, jak i chrześcijan, ze zwolenników rządu i zwolenników opozycji. Musiało by więc dojść do rozbicia armii.

Dziwna wojna domowa toczy się już 7 tygodni w małym kraju. Od 7 tygodni sprawa Libanu nie schodzi z pierwszych stron gazet całego świata. Co dzień przez 7 tygodni świat oczekuje wyników wojny domowej w Libanie. Dlaczego? Skąd takie zainteresowanie?

„Jesteśmy, być może, w przededniu trzeciej wojny światowej i wszystko zależy od tego niewielkiego problemu: czy Chamounowi uda się opanować sytuację w kraju własną ręką... czy też będzie musiał on zażądać lądowania amerykańskiej piechoty morskiej"? („Figaro", 17. VI. br.).

Oto jest klucz, otwierający tajemnicę zainteresowania.

Wobec realnej groźby wykruszenia się Libanu z łańcucha światowego kolonializmu brytyjscy spadochroniarze w pełnej gotowości bojowej oczekują na Cyprze rozkazu wylotu, bataliony amerykańskiej piechoty morskiej gotowe do akcji wachtują na okrętach w pobliżu wybrzeża Libanu. Nad tą wzburzoną szklanką „coctailu Wschód — Zachód" wisi więc grubsza awantura, pachnąca agresją taką samą jak swego czasu napaść na Egipt i Suez.

Mocarstwa zachodnie zdecydowane są utrzymać prozachodni rząd w Libanie. Gotowe są do interwencji zbrojnej przy wtórze starej śpiewki o „obronie wolnego świata", ale wolałyby tej interwencji uniknąć. Interwencja zbrojna Zachodu pociągnęłaby za sobą kontrinterwencję ze strony świata arabskiego. Ta mała wojna byłaby dla pokoju światowego wielce niebezpieczna. Agencja TASS ostrzegła imperializm przed tą nową awanturą, która imperialiści pragną łatać rozpadający się łańcuch kolonialny.

Interwencja Zachodu ponadto zdyskredytowała by całkowicie rząd Chamouna i spotęgowałaby nastroje antyimperialistyczne. Stany Zjednoczone wolą więc interwencję ONZ. W tym kierunku zmierzała wizyta sekretarza generalnego ONZ, Hammerskjoelda w Bejrucie. Siły policyjne kilkunastu państw blokowałby mały Liban, a cień lotniskowców siódmej floty amerykańskiej szachowałby libańską opozycję. Mielibyśmy do czynienia z umiędzynarodowieniem libańskiej wojny domowej w interesie Zachodu i załatwiania ich pod płaszczykiem ONZ.

Wielka Brytania lansuje ponoć inną koncepcję. Interwencję wojsk Iraku i Jordanii. Miałoby to w oczach narodów zdjąć z Zachodu zarzut jawnej ingerencji w sprawy Bliskiego Wschodu, a Anglicy zwiększyliby tam swoje wpływy. Wszak Irak i Jordania — to kraje probrytyjskie.

Hammerskjoeld otrzymał — jak się mówi — od prezydenta Nassera zapewnienie, że ZRA nie myśli wikłać się w konflikt libański, pragnęłaby kompromisowego rozwiązania — ustąpienia Chamouna, zastąpienia go przez Chebeba i pełnej neutralności Libanu. Tylko takie rozwiązanie może stłumić ognisko tlące sie na Bliskim Wschodzie. Każde inne może jedynie je rozszerzyć.

JACEK LEBEN.

Korespondencja
Do
Redakcji Tygodnika Łódzkiego
„ODGŁOSY"
w Łodzi
ul. Piotrkowska 96

W związku z ukazaniem się artykułu w „Odgłosach" z dn. 8 czerwca 1958 roku pod tytułem „Jak z hrabią Potockim" oświadczam, że artykuł ten nie jest zgodny z prawdą. W artykule tym sformułowano ostre zarzuty pod moim adresem. Autor pisze, że rodzina Marty Kamańczyk spotyka się z coraz liczniejszymi szykanami, że celem tych szykan jest zupełne wyrugowanie faktycznych właścicieli i zajęcie całej posesji, że cała sprawa ma charakter wybitnie szowinistyczny, a nawet doszło do tego, że moja siostrzenica uderzyła w twarz córkę Marty Kamańczyk krzycząc: „Szwaby, marsz do Niemiec!". Zarzuty podsunięte autorowi — jak sądzę — przez Martę Kamańczyk są niesłuszne, a co za tym idzie — treść artykułu nie jest zgodna z prawdą. Po pierwsze, żadnych szykan czy przykrości w stosunku do Marty Kamańczyk i jej rodziny nie czynimy, o zajęcie całej posesji nie czynimy także żadnych starań, gdyż w myśl Dekretu o Reformie Rolnej, oraz na podstawie orzeczenia Komisji Ziemskiej w Łodzi z dnia 30.III. 1956 r. otrzymaliśmy na własność działkę ziemi około 0,28 ha oraz połowę budynku mieszkalnego z połową komórki murowanej stanowiącej przedtem własność Skarbu Państwa. Marta Kamańczyk uważa się za prawowitego właściciela całej posesji. To nie ja, ale nasze państwo orzekło, że jest przeciwnie. Czynione zarzuty pod moim adresem są dla mnie krzywdzące, gdyż jesteśmy wraz z mężem z działa pradziada prawowitymi Polakami byliśmy zawsze biedni, bez roli, gnębiono nas przez cały czas okupacji hitlerowskiej, byliśmy wywiezieni na roboty do Niemiec. Uważam, że słusznie należy się nam dach nad głową i mały skrawek ziemi, co też nam przyznano. Otrzymaliśmy akt własności, wydany przez państwo.

Marta Kamańczyk jest pochodzenia niemieckiego, miała volkslistę II grupy, zaś jej mąż z pochodzenia Polak miał volkslistę III grupy. Autor artykułu pisze, że oboje przyjęli volkslistę pod groźbą represji i szantażu, co mija się z prawdą. Przyjęli ją dobrowolnie. Czas okupacji hitlerowskiej był dla nich sprzyjający.

Trudno mi sądzić czy Marta Kamańczyk jest dobrą Polką, czy też nie. W każdym razie w Komisariacie Milicji Obywatelskiej, na co milicjant jest świadkiem, powiedziała na mnie: „Ty polska świnio!" Sprawa ta została skierowana do sądu, za co otrzymała 2 lata, z zawieszeniem z powodu amnestii.

Proszę uprzejmie, aby redakcja „Odgłosów" opublikowała to wyjaśnienie, gdyż tego wymaga sprawiedliwość i dobre imię naszej rodziny.

WALENTYNA SLEBODA
Łódź, Nowotki 389

JAN KOPROWSKI

KSIĄŻKOWE TARGI

Byłem na Międzynarodowych Targach Książki urządzonych w Pałacu Nauki i Kultury. W tegorocznych, trzecich z kolei targach książki, wzięło udział 100 wystawców, w tym 59 zagranicznych reprezentujących ogółem około tysiąca firm wydawniczych, gdyż niektórzy z nich są przedstawicielami kilku lub nawet kilkudziesięciu wydawców.

No tak, obejrzałeś wszystko, co cię, człowieku, interesuje, zapisałeś w notesie, narobiłeś sobie apetytu i co? I musisz oblizać się ze smakiem, albowiem żadnej z tych książek nabyć nie możesz. Handlują między sobą firmy, zakupują książki wydawnictwa, a tzw. szary obywatel może tylko patrzeć i zazdrościć. Przypuszczalnie jakaś część tych książek trafi później do ludzi, ale po pierwsze: trafi przypadkowo, a po wtóre: często nie do tych, którym najbardziej na tym zależy.

Chodząc po wystawie cały czas myślałem o sytuacji człowieka, który nie może sprowadzić z zagranicy potrzebnych mu do pracy książek. Ktoś mi może odpowiedzieć: jak to, przecież działa w Warszawie Ars Polona, zajmująca się specjalnie tymi sprawami. Istotnie, jest taka Ars Polona w Warszawie. Ale chcecie wiedzieć, jak ona pracuje? Oto przykład: jesienią ubiegłego roku zamówiłem sobie przez tę właśnie instytucję kilka publikacji zagranicznych. Do tej pory żadnej z nich nie otrzymałem. A minęło już równo osiem miesięcy od chwili złożenia zamówienia. Nie osiem tygodni, lecz o s i e m m i e s i ę c y.

Nie mogę o tym mówić i pisać spokojnie. Przypomnijmy sobie, jak to wyglądało przed wojną. Szedłeś do księgarni Gebethnera i Wolffa, zamawiałeś potrzebną ci książkę obcojęzyczną i w ciągu jednego tygodnia miałeś ją już w domu.

Myliłby się ten, kto by sądził, że na Zachodzie wydaje się wprawdzie wiele książek, ale głównie z dziedziny nauk technicznych, służących bezpośrednio utylitarnej cywilizacji. Wystawa dowodzi, że owszem — wydaje się mnóstwo książek tego rodzaju, ale dowodzi również ponad wszelką wątpliwość, że Zachód stara się dbać o rozwój nauk humanistycznych. Amerykanom można pozazdrościć ich publikacji socjologicznych i socjo-politycznych. Niemcom zachodnim — wszelkiego typu leksykonów, encyklopedii dużych i małych, kompendiów, słowników. Szwajcarom — znakomitych wydawnictw z dziedziny filozofii, Austriakom — publikacji muzycznych, Francuzom — monografii literackich i plastycznych. Poza tym: w humanistyce reprezentowane są wszelkie kierunki badań i poglądów — od idealistycznych począwszy a na materialistycznych skończywszy.

Targi Książki w Pałacu Kultury i Nauki urządzone były wzorowo. Organizacja świetna, stoiska zestawiono tak, że łatwo można było odnaleźć to, czego człowiek szukał. W każdym stoisku był ktoś mówiący po polsku. W stoisku szwajcarskim młoda, pięknie ubrana Szwajcareczka, mówiła wyborną polszczyzną, tak samo w stoisku włoskim, angielskim i pozostałych.

Ciekawie przedstawiało się stoisko jugosłowiańskie. Świeże reminiscencje z pobytu w tym kraju kojarzyły się z tytułami znanych książek poznanych niedawno pisarzy. Na szczególne zainteresowanie w tym stoisku zasłużył sobie wydany w Zagrzebiu obszerny słownik serbochorwatsko-polski. Niestety jest dość drogi — kosztuje, w przeliczeniu na nasze pieniądze, ponad 120 złotych.

I tu wyłania się nowy problem — problem przeliczeniowych cen na książki zagraniczne. Wiadomo, że książki w krajach zachodnich (a również i w tejże Jugosławii) są drogie. Wszelako nie na tyle, jakby na to wskazywały ich ceny w złotych. Na przykład: słynna powieść Roberta Musila „Der Mann ohne Eigenschaften" kosztuje bez mała 300 złotych. Kto może sobie pozwolić na kupno tak drogiej książki?

Czy i tu nasz handel zagraniczny nie szuka możliwości, pokrycia niedoborów w innych dziedzinach? Nie twierdzę, że tak jest na pewno. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że na Zachodzie nie ma książek tanich. Większe wydawnictwa jak np. Ullstein-Verlag w Berlinie czy Rowohtl-Verlag w Hamburgu wydają od lat tzw. tanie serie, w których ukazują się książki beletrystyczne i naukowe, klasyków i autorów współczesnych w cenie 2 lub 3 marki za tom. Podobnie rzecz się ma ze słynną i tanią serią książek angielsko-amerykańskiego wydawnictwa Penquin Books.

Na zakończenie parę słów o stoiskach książki polskiej. Nasze firmy wydawnicze wystawiły wszystkie swoje najnowsze pozycje, a więc na przykład Państwowy Instytut Wydawniczy wznowienia z dawnej biblioteki Sympozjonu, „Czytelnik" nowe tomy z literatury dwudziestolecia, MON — pamiętniki i wspomnienia wojenne, a „Książka i Wiedza" — dalsze pozycje z dziedziny socjologii, psychologii i polityki. Miło mi było stwierdzić, że na wystawie znajdowało się stoisko najmłodszego wydawnictwa w Polsce — Wydawnictwa Łódzkiego. Wydawnictwo Naukowe wystawiło na pokaz makietę jednotomowej Encyklopedii Powszechnej, która ukaże się w końcu bieżącego lub na początku przyszłego roku. Będzie to pierwsza polska encyklopedia wydana w piętnaście lat po wojnie. Oglądałem makietę tej encyklopedii. Skromna, ale dobrze, że będzie wreszcie jakakolwiek. Gdzie indziej od dawna już ukazują się wielotomowe obszerne wydawnictwa encyklopedyczne. My jesteśmy dopiero u początków pracy w tym zakresie. To dobrze, że się wreszcie zaczęło. Ale chciałoby się, by ten proces trwał krócej i byśmy mieli już własne encyklopedie i kompendia, przystosowane do naszych potrzeb i celów.

Oby następne Targi Książki zaspokoiły nasze apetyty i w tym względzie.

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABOJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE

W ruinach sulejowskiego opactwa zmarł w tajemniczych okolicznościach, H. Pronobis, sędziwy zbieracz exlibrisów. Jego przyjaciele, poeta Nataniel i publicysta Tomasz, postanowili odnaleźć zabójców Pronobisa. Podejrzewają oni, że ze śmiercią przyjaciela ma coś wspólnego tajemnicza sprawa zaginięcia posiadanego przez Pronobisa testamentu rycerza Baldarichа-Bałdrzycha. Ze śmiercią Pronobisa pozostają także w ścisłym związku dwaj biali mnisi, którzy próbowali wtargnąć do niego oraz piękna, młoda kobieta, zwana Czarną Milady wraz ze swą bandą: Szefem, Szczurkiem i Bachem-Majonosym. Po przeżyciu kilku ciekawych przygód, m. in. niezwykłych kradzieży w pałacu w Borowie, przyjaciele rozstali się. Tomasz wyjechał za granicę, a po powrocie zaprosiła go do siebie redakcyjna koleżanka, zwana „Mniszką".

— W takim razie przyjdź do mnie do domu.

Zaczerwieniła się:

— Nie rozumiem cię, Tomaszu, ja? Do ciebie? Do samotnego mężczyzny? Trzy dni temu wygłaszałam na zebraniu stowarzyszenia dziennikarzy referat o moralności. Nie chcesz chyba, abym co innego głosiła, a co innego robiła? Nie jestem obłudna.

— Nie moja wina, że wygłaszałaś taki referat. Jesteśmy teraz w sytuacji bez wyjścia.

— Przyjdź do mnie.

— Do ciebie, Anno? Do młodej, samotnej kobiety?

— Przyjdź do mnie dziś wieczorem. Opowiesz mi o swych wrażeniach z podróży — powiedziała twardo „Mniszka".

Redaktor Anna czyli jak ją nazywaliśmy — „Mniszka" odnajmowała sublokatorski pokoik w mieszkaniu wysoko postawionego i odpowiedzialnego pracownika, w luksusowym domu dla wysoko postawionych i odpowiedzialnych pracowników. Pokój jej był nieduży, ale bardzo wygodny, umeblowany nowocześnie, pełen kwiatów i tych książek, które za nieduże pieniądze można było w wielkiej ilości i w ładnych oprawach nabyć w każdej księgarni. „Mniszka" była szczególnie dumna z tego, że posiada Wielką Encyklopedię Radziecką, aż w trzech identycznych egzemplarzach.

Powitała mnie w szlafroczku koloru żółtawego.

— Ach, Tomku! — zawołała, a głos jej lekko drżał. — Czytam o teorii „szklanki wody". To straszna, okropna teoria. Pomyśl: przespać się z mężczyzną, to tyle samo, co wypić szklankę wody? Jakież to niemoralne, ohydne, aż dreszcz mnie przenika na samo wyobrażenie o czymś takim... Co o tym sądzisz?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem nic w tej sprawie. Mało piję wody. Wolę herbatę. Mocną.

Podeszła do mnie blisko, bliziutko, przewracała kartki książki jakby szukając odpowiedniego cytatu. Chyba nawet nie zauważyła, że szlafrok rozsunął się, obnażając jej nogę.

— Autor tej książki — powiedziałem patrząc na udo „Mniszki" — był już człowiekiem starszym, gdy zwalczał teorię „szklanki wody"...

Z trzaskiem zamknęła książkę.

— Tak nie wolno mówić. On jest zawsze młody. A ty jesteś zepsuty...

Zauważyła, gdzie biegnie mój wzrok. I czym prędzej zasłoniła nogę szlafrokiem.

Usiadła mi na kolanach. Objęła mnie za szyję. Zanurzyłem twarz w jej obszernym dekolcie. Przytuliła się do mnie, a wówczas piersi wypłynęły jej na wierzch jak dwie białe fasole.

— A ty... nie chciałbyś się ożenić? — zapytała całując mnie w usta.

Mruknąłem coś niewyraźnie.

Odepchnęła mnie, zerwała się i poczęła biegać dookoła stołu, a poły szlafroka fruwały jak skrzydła. Miała wysoki i bardzo wypukły kuperek, który czynił ją podobną do osy.

— Podły! Podły! To skutki przyjaźni z tym... Natanielem.

— Mistrz Nataniel nie należy do przeciwników małżeństwa. Był już trzy razy żonaty. Pierwsza żona, z domu hrabina Pembroke zmarła na raka, z dwoma innymi żonami mistrz rozwiódł się jeszcze przed wojną przechodząc z wyznania katolickiego na kalwinizm, a potem na prawosławie. W ten sposób mistrz poznał rozliczne religie.

— Więc ostatecznie jakiego wyznania jest Nataniel?

— Był i jest wolnomyślicielem.

Wstałem z tapczanu i spróbowałem ją objąć. Nie stawiała oporu.

— Ach, — westchnęła, kiedy całowałem ją w szyję.

Skóra „Mniszki" pachniała jak macedoński tytoń fajkowy — „Extra duvan za lulu". Nagle z przestrachem spostrzegłem, że jej uda są szorstkie jak tarka. Była w tym miejscu jak kurczę oskubane z piór.

— No tak — powiedziałem ze smutkiem.

Zniechęcony usiadłem na tapczanie. Powiedziała ze złością:

— To co robimy... jest nikczemne.

Potem obciągnęła na sobie szlafrok i wybiegła z pokoju.

Wróciła po piętnastu minutach, ubrana w ciemną suknię z jakąś białą wstążką pod szyją. Wyglądała prześlicznie. Skromna, młodziutka pensjonarka.

ROZDZIAŁ DRUGI PT.

NA TROPIE TAJEMNICY

W progu mieszkania powitał mnie ostry sygnał telefonu. Nie spiesząc się podszedłem do biurka, wolno podniosłem słuchawkę i powiedziałem znudzonym głosem:

— Haaalooo!

I natychmiast odbiegła ode mnie ociężałość. Schwyciłem słuchawkę jak bym za wszelką cenę chciał przytrzymać przy telefonie tę, co do mnie dzwoniła.

— Przy aparacie Tomasz z „Bibliofila Polskiego". Pani chciała się ze mną spotkać? W sprawie służbowej? Nieee?... Ach, to pani dowiadywała się o mnie w redakcji i zostawiła numer swego telefonu? Tak, mówiono mi. Niestety, koleżanka zgubiła kartkę z numerem.

Dzwoniła do mnie Czarna Milady — doskonale poznawałem jej głos. Więc to ona nazywa się Ewa T? Znam jej imię i nazwisko, teraz łatwiej mi będzie ją odszukać, jeśli znowu zniknie mi tak tajemniczo, jak owego ranka w starym młynie.

Czarna Milady mówiła przez telefon:

— Studiuję zagadnienie rozwoju uposażenia klasztoru cystersów w Sulejowie. Dowiedziałam się, że bogaty i zupełnie dotąd niepublikowany zbiór dokumentów cysterskich zebrał pan Herakliusz Pronobis. Przypadkowo usłyszałam, że mieszka on w sulejowskim opactwie, pojechałam do niego, ale... on już nie żył. W Prezydium GRN poinformowano mnie, że całą spuściznę po panu Pronobisie przejął dziennikarz z „Bibliofila Polskiego". Kilkakrotnie odwiedziłam redakcję, niestety, pan podróżował... Wczoraj byłam również i powiedziano mi, że z kolei poszedł pan na urlop. Zdecydowałam się więc zadzwonić do prywatnego mieszkania, bardzo przepraszam, że jestem taka natrętna...

— Ależ nic nie szkodzi. Bardzo dobrze pani zrobiła — odpowiedziałem. A chociaż pewien byłem, że ona mojego głosu nie rozpoznała i nie skojarzyła sobie osoby Tomasza z „wróżbitą" ze starego młyna, na wszelki jednak wypadek starałem się mówić piskliwym dyszkantem:

— W zasadzie, proszę pani, nie widzę przyczyn, dla których nie miałbym pani udostępnić dokumentów po Herakliuszu Pronobis. Są, zdaje się, zbyt cenne, aby mogły pozostać moją prywatną własnością. Zamierzałem przekazać je do Państwowego Archiwum. Uczynię to jednak nieco później, tymczasem bowiem sam trochę ślęczę nad historią klasztorów cysterskich.

Tu ugryzłem się w język, bo a nuż spłoszę ją tą informacją. Ale nie. Milady rzekła wesoło:

— O, w takim razie bardzo proszę o rozmowę. Na pewno będę mogła coś skorzystać i z pańskiej wiedzy o cystersach.

— O dziewiętnastej będę w kawiarni „Grand". Nie jest pani zajęta? Doskonale. W takim razie o dziewiętnastej w kawiarni „Grand".

— Ale w jaki sposób pana rozpoznam? — zawołała Czarna Milady.

Przypomniał mi się chwyt z sensacyjnego filmu.

— Będę miał w ręku gałązkę bzu — rzekłem poważnie.

Usłyszałem jej śmiech.

Kiedy odłożyłem słuchawkę na czole czułem grube krople potu, palce miałem białe, tak silnie ją ściskałem. Nie starałem się sobie wmawiać, że moja rozmowa z Czarną Milady należała do szczytów dyplomacji. Usprawiedliwiał mnie tylko moment zupełnego zaskoczenia. Przecież to nie jest takie codzienne — szukać kogoś, myśleć o nim prawie bez ustanku, a tymczasem ten ktoś nagle dzwoni i prosi o spotkanie.

— O, dam ja jej dokumenty Pronobisa. Zobaczy je jak własne ucho. Bezczelna! Jak to ona powiedziała? „Zupełnie przypadkowo usłyszałam, że Pronobis mieszka w sulejowskim opactwie, pojechałam do niego, ale on już nie żył". Kłamiesz, kłamiesz, zacna niewiasto — rozmyślałem. — Wiem dobrze, że zastałaś, że pytałaś go o testament Baldaricha-Bałdrzycha. Twierdziłaś, że jesteś z rodu Bałdrzychów, a gdy Pronobis zdemaskował twe kłamstwo uciekłaś zawstydzona. A potem?... Potem staruszek umarł na zawał serca.

Nagle zreflektowałem się. A jeśli to nie Czarna Milady odwiedziła wówczas Heraklusza? Właściwie, na jakiej podstawie opieram swoje przekonanie? Podstawa jest bardzo krucha. Stanowi ją fakt, że i ona interesuje się sprawami sulejowskich opatów, że przebywa w towarzystwie podejrzanych osobników, że jest w bandzie, której przewodzi tajemniczy szef. Lecz na dobrą sprawę, w grę wchodzić może jeszcze i inna kobieta. Nie jest wykluczone, że do bandy Szefa należy kilka kobiet, nie jest też wykluczone, że kobieta, która była u Pronobisa, działa na własną rękę? Albo, że mam do czynienia z dwoma grupami: jedna to Szef, Czarna Milady, Szczurek i Bach Majonosy, druga zaś — to dwaj mnisi cysterscy i kobieta, która pytała Pronobisa o testament Bałdrzycha...

Postanowiłem zatelefonować do Nataniela, aby wzmocnić się jego radą. Mistrz szczodrobliwie udzielił mi przeróżnych wskazówek:

— O, Tomaszu — zawołał — masz nie lada jaką okazję, aby zabłysnąć przymiotami rozumu i inteligencji. Wydobądź z zapomnienia spryt i dowcip, które ostatnimi czasy nie raczyłeś nadwerężać zbyt częstym użyciem. Ja ze swej strony pomogę ci skorzystać z przestróg ewangelistów i Salomona, oni bowiem uszczknęli wiele z prawdziwej mądrości. Na okazję spotkania z Czarną Milady godzi się zajrzeć do Talmudu i Seneki.

I mistrz na chwilę odszedł od telefonu, aby przynieść grubą księgę, gdzie zapisywał skrupulatnie mądre aforyzmy. Ujął znów za słuchawkę i sypnął nimi obficie:

— Na początku ostrzegam cię, Tomaszu, abyś w rozmowie z Milady zachowywał się skromnie, pokornie, bez pychy. Napisano bowiem w Talmudzie: „Człowiek szóstego dnia został stworzony, aby nie był pyszny, bo mucha prędzej jest stworzona niż on". Nie znaczy to jednak, abym nakłaniał cię do łagodności czy dobroci. Powiada przysłowie baszkirskie: „Jak będziesz bardzo zły, to cię powieszą, jak będziesz bardzo dobry, to cię zjedzą". W Eklezyastes wyczytałem, co następuje: „Strzeż się, abyś się nie potknął językiem swoim", a rozumieć to należy: gadaj do rzeczy, Tomaszu i ostrożnie. Tam również odnalazłem zdanie: „Strzeż się chytrej, a strojnej niewiasty". Tomasz a Kempis pisze: „Nie bądź poufałym z żadną niewiastą, ale wszystkie dobre niewiasty Bogu polecaj". Poza tym już moja osobista rada: miej uszy otwarte, a usta zamknięte, to poznasz głupotę innych, a własnej im poznać nie dasz...

— — — — — — — — —

Na godzinę przed umówionym terminem wyszedłem do miasta, żeby kupić gałązkę bzu. Oczywiście bzu nigdzie nie dostałem, nie było go ani w kwiaciarniach, ani też u ulicznych sprzedawców. Ci mieli na sprzedaż fijołki, zaś w kwiaciarniach oferowano mi jedynie prymulki. Do diabła z taką dystrybucją! — klnąłem pędząc z ulicy na ulicę. Wreszcie kupiłem pęczek fijołków, pomyślawszy, że i tak przecież rozpoznam Czarną Milady. W kawiarni znalazłem się pięć minut po dziewiętnastej.

Była to ogromna kawiarnia o wielkich oknach, które upodobniały ją do dużego akwarium. Między rafami stolików jak egzotyczne ryby tkwiły ładne i strojnie ubrane kobiety: ich ruchy wydawały mi się ospałe i leniwe jak powolne ruchy ryb; obicia miękkich foteli były zielonkawe, panował seledynowy półmrok, co jeszcze bardziej przypominało wnętrze akwarium.

Milady już czekała na mnie — zobaczyłem ją pod prawą ścianą tuż obok białej kolumny wspierającej sufit. Ukłoniłem się, położyłem na stoliku pęczek fijołków.

— To zamiast gałązki bzu — powiedziałem nieśmiało.

— Ach... to pan? — nie mogła powstrzymać się od okrzyku zdziwienia.

Podałem jej rękę:

— Tomasz z „Bibliofila Polskiego" — przedstawiłem się unikając najlżejszego tonu ironii.

— Inżynier-rolnik, wróżbita, czarnoksiężnik, wielbiciel sielanek Gesnera. A jednak zgadłam podejrzewając, że jest pan dziennikarzem? Lecz tak gorliwie pan zaprzeczał, tak pan wymyślał na dziennikarstwo, że wreszcie zmylił mnie pan... No cóż, umie pan kłamać. Zapewne łączy się to z pańskim zawodem — rzekła z wyraźną złośliwością.

— Nie kłamałem. Nie lubię swojego zawodu.

— Więc czemu nie zajmie się pan inną pracą?

— Próbowałem, dziennikarstwo jest tym jednym, co jako tako mi się udaje.

— Jest pan tego pewien?

— Nie... — rzekłem szczerze.

Podeszła kelnerka, zamówiliśmy kawę. Zauważyłem, że wtedy w karczmie Winodaj i starym młynie Milady wyglądała chyba o wiele korzystniej. Może wrażenie to sprawiał nastrój niebezpieczeństwa i tajemniczości? Teraz w centrum prawie milionowego miasta i w kawiarni pełnej dziesiątków ludzi Czarna Milady nie była ani niebezpieczna, ani groźna, ani nawet tajemnicza.

Przez dłuższą chwilę i ona obserwowała mnie w milczeniu. Zapewne rozmyślała, czy warto kontynuować rozmowę. Nagle powiedziała ze złością:

— Pańskie zainteresowanie sulejowskim opactwem też chyba jest kłamstwem? Nie może mi się pomieścić w głowie, że świętej pamięci Herakliusz Pronobis właśnie panu z „Bibliofila Polskiego" darował w spadziku wszystkie swe zbiory, zapiski, dokumenty. Przecież to „Bibliofil Polski" prowadził tę ohydną kampanię przeciw Pronobisowi i jego „ex librisom". Już po śmierci Pronobisa w pańskiej gazecie ukazał się artykuł, w którym obrzucono Pronobisa najgorszymi wyzwiskami. Lękam się, czy za darowizną biednego Pronobisa nie kryje się jakieś kolejne świństwo.

Zagotowało się we mnie. Twarz poczęła mnie palić. Już gotów byłem odpowiedzieć jej bardzo gwałtownie, ale przypomniały mi się rady Nataniela, jego wezwanie do skromności i pokory. Gniew mógł tylko zaszkodzić sprawie wykrycia morderców.

— Herakliusz Pronobis był moim serdecznym przyjacielem, nie mam i nie miałem nic wspólnego z nagonką, jaką przeciw niemu wszczęła gazeta, w której pracuję. To wszystko, co chcę pani powiedzieć w tej sprawie. A teraz może przystąpimy... do rzeczy? Czy naprawdę studiuje pani historię rozwoju uposażenia klasztoru w Sulejowie? — zapytałem z ironią.

Zaniepokoiła się. Rozglądała się po sali, gotując jakąś misterną odpowiedź.

— Proszę być szczerą — podpowiadałem.

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam obowiązku być szczerą.

Zdobyłem się na jeszcze jedno ustępstwo:

— W moim mieszkaniu są wszystkie dokumenty, jakie posiadał Pronobis. Pożyczyć ich pani nie mogę. Ale pozwalam, aby pani je u mnie przejrzała.

— Dlaczego nie może pan pożyczyć?

— Bo nie mam do pani zaufania.

Teraz ona zaczerwieniła się. Gniewnie potrząsnęła głową. Zapytała ostrożnie pomijając zupełnie kwestię zaufania:

— A pan... czytał te dokumenty?

Kiwnąłem głową.

— Wszystkie? — zapytała i aż oddech przytaiła w piersi, z takim napięciem oczekiwała mej odpowiedzi.

— Tak, wszystkie.

Patrzyła mi prosto w oczy, jakby pragnąc wydrzeć mi z głowy to, co chciała wiedzieć, a co, bała się, zechcę przed nią ukryć.

— Czy... — zająknęła się — czy wśród dokumentów jest testament Baldaricha-Bałdrzycha?

Milczałem. Bawił mnie jej niepokój, bo przecież tym pytaniem zagrała ze mną w otwarte karty. Milczałem i swym milczeniem mściłem się za posądzenie mnie o podłość wobec Herakliusza.

— Pyta pani o ten testament dlatego, że jest pani ostatnią z rodu Bałdrzychów? — zaśmiałem się cicho.

Wargi jej drżały, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Ale nie. Przygryzła je, zacisnęła. Patrzyła na mnie z nienawiścią. Czułem tę nienawiść i na sekundę strach mnie obleciał.

(D. c. n.)

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka"
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 1,— zł, kwartalnie 12,— zł
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-379 z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Z. 2049. VII. 58. M-4

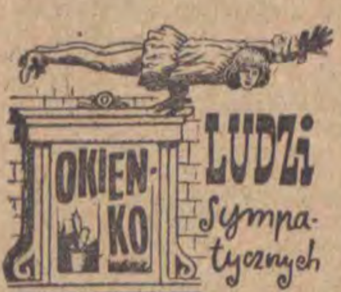

APELUJE!

Prędzej czy później, ale musiało do tego dojść. I doszło! Otóż nasz (redakcyjny) zapas sympatycznych ludzi mamy już na wyczerpaniu. Nie znaczy to, że nie znamy już więcej sympatycznych osób. Bynajmniej. Ale nie wszystkich możemy zaprosić do występu w „Okienku". Jakże łatwo moglibyśmy wówczas zostać oskarżeni o kumoterstwo!

Dlatego niniejsze „Okienko ludzi sympatycznych" zwraca się z apelem do Czytelników. Przysyłajcie nam nazwiska wyjątkowo sympatycznych osób, najlepiej ze zdjęciami, a my te nazwiska obok fotografii będziemy publikować w kolejności zgłoszeń. Oczywiście wcale nie wystarczy wypisać na karteczce imię i nazwisko sympatycznej osoby. Należy także pokrótce choćby jednym zdaniem umotywować, dlaczego dana osoba jest sympatyczna, w czym się owa „sympatyczność" przejawia albo jakie są tej „sympatyczności" oznaki na zewnątrz.

Motywacja może być bardzo krótka (np.: p. Jerzy Hordyński jest bardzo sympatyczny, bo mu się nie podoba audycja radiowa pt. „Matysiakowie" itd.). Zdjęcia powinny być wyraźne, a na kopercie, obok adresu redakcji koniecznie trzeba zaznaczyć „Okienko ludzi sympatycznych". Czekamy!

TAJNIKI ZAWODU

Brytyjska aktorka filmowa, Pat Clavin, wyjawiła dziennikarzom, że pełen wdzięku uśmiech, z którego znają ją widzowie filmowi, uzyskuje się najlepiej, wymawiając w czasie pozowania przed kamerą słowo „cheese", co po prostu znaczy „ser".

Nowy film Clementa

Niezwykle interesująco zapowiada się nowy film znakomitego reżysera francuskiego Rene Clementa „Zapora na Pacyfiku" (Bagarre contre le Pacifique) wg. powieści Malgorzaty Duras. Film ten zostanie pokazany na Festiwalu w Brukseli. Akcja toczy się w Indochinach, w małej miejscowości nad brzegiem oceanu. Pewnego wieczoru tajfun niszczy prymitywną tamę zbudowaną z inicjatywy dzielnej i energicznej kobiety. Woda zalewa pola ryżowe, które karmią około 40 rodzin. Trzeba zbudować nową, betonową zaporę, zdolną wytrzymać podmuchy tajfunu. Lecz skąd wziąć pieniądze? Tu zaczyna się dramat. Walka egoizmu z poświęceniem, zła z dobrem — oto rdzeń filmu Clémenta. Walka człowieka z naturą, walka hartująca i wyrabiająca charaktery. Film obfituje również w liczne perypetie romantyczne. Neorealistyczna surowość łączy się tu z urokiem egzotyki i przygody. Dodajmy piękne, barwne, zdjęcia Indochin. Film został nakręcony w plenerze, w dalekiej Thailandii w Indochinach. Autentyczny tajfun zniszczył część gotowego już materiału. Część ekipy realizatorskiej zachorowała na malarię. Groźne węże przerywały w najbardziej nieoczekiwanych momentach poszczególne sceny, budząc zrozumiałą panikę. Być może, że właśnie te osobiste przeżycia, przygody i wrażenia członków ekipy nadały filmowi ową niepowtarzalną szczerość i prawdziwość wymowy. Clement, jak zwykle, zapewnił swemu dziełu doborową obsadę. W „Zaporze na Pacyfiku" zobaczymy m. in. odmienioną, lecz jak zawsze piękną Silvanę Mangano („Gorzki ryż"), Alidę Valli („Cud zdarza się tylko raz") i bardzo utalentowanego aktora amerykańskiego Anthony Perkinsa („Nie zabijaj").

SKAT.

AGNIESZKA

WŚRÓD

GANGSTERÓW

Jest to wyjątkowo zabawny film sensacyjny, zrealizowany przez Ralpha Habiba. Główną rolę, czyli postać Agnieszki — kreuje na ekranie Dany Carrel, młoda gwiazda francuskiego ekranu. Dany Carrel debiutowała w roku 1954 i nakręciła do dnia dzisiejszego... 14 filmów, co przy lokalnych osiągnięciach w tej dziedzinie wygląda rewelacyjnie. Albowiem nasze aktorki, o ile okoliczności przedstawiają się korzystnie — nakręcają przeciętnie po jednym filmie rocznie.

Filmowe i atrakcyjne perypetie Agnieszki zaczynają się od chwili, gdy pokłóciła się ona ze swoim miłym. Miała potem iść na bal, ale ta wyprawa nie doszła do skutku. Stanęły na przeszkodzie złe stopnie, które Agnieszka uzyskała w szkole. Rodzice wychodzą — a po jakimś czasie dzwoni telefon. Tajemniczy rozmówca nazywa Agnieszkę imieniem „Mauricette" i każe jej udać się na spotkanie w hotelu Rezeda. Agnieszkę wprowadza w błąd imię Filipa, wymieniane przez nieznajomego. Agnieszka przypuszcza więc, że chodzi tu o kawał, urządzany przez kolegów jej chłopca. Udaje się do hotelu. Napotyka tam bandę gangsterów, którzy oczekiwali zupełnie innej dziewczyny, wybranej przez ich kolegę (Filipa), dla przeprowadzenia skomplikowanej, gangsterskiej akcji. Zadanie polega na tym, że dziewczyna, będąca na usługach bandy ma zaprzyjaźnić się z niejakim Raphaelem, który niedawno wyszedł z więzienia i dowiedzieć się, gdzie ów Raphael przechowuje pieniądze. Agnieszka podejmuje się tej roli.

Przede wszystkim rzuca się pod samochód Raphaela, a potem jedzie z nim do „Soho-Clubu". Ale Raphael jest przystojnym (Louis Jourdan) i miłym mężczyzną. Z uwagi na to Agnieszka wyjawia mu plan gangsterów, a także to, że mają go oni zamordować. W ten sposób Raphael, (który jest typem gangstera z zasadami) — dowiaduje się o zasadzce. Ale jest już za późno, bo w „Soho-Clubie" cały personel to poprzebierani gangsterzy, którzy dybią na jego życie i majątek. Następuje efektowna scena strzelaniny, ale jej rezultatu, oczywiście — nie zamierzam tutaj wyjawić. W każdym razie warto jedynie napomknąć, iż rzecz zrobiona jest zręcznie, z wyraźną pedanterią i troską o szczegóły. Nic dziwnego. Ralph Habib — jest przecież autorem trzech filmów, które widzieliśmy stosunkowo niedawno temu.

Pierwszy z tych filmów to „Przed sądem". Śladem Anatola France'a Habib przepuścił tam przez machinę sądu poczciwego straganiarza, opatrzonego uprzednio etykietką uczciwości. Potem obnażył kulisy nieoczekiwanego wyroku i swoim zwyczajem — zakpił. Wówczas z głupoty mieszczucha, z określonego środowiska, które traci tzw. poczucie solidarności klasowej pod wpływem moralności mieszczańskiej i magicznego słowa „prawo". Potem Habib pokazał nam „Poznane nocą" i „Prawo ulicy". Czwarty film — to właśnie „Agnieszka wśród gangsterów". Tutaj zamyka się niejako krąg kpiny. Po omówionej kpinie „Przed sądem" przyszła kpina zupełnie innego rodzaju. Pod pozorną „szlachetnością" tematu ukryte było także charakterystyczne dla Habiba umiłowanie wątku sensacyjnego. Teraz, w „Agnieszcze wśród gangsterów" nie ma już nic pseudo szlachetnego. Jest tylko sensacja i... perskie oko także.

I jeszcze jeden szczegół, na który nasza widownia, oglądając „Agnieszkę wśród gangsterów" zwrócić winna uwagę. Otóż Agnieszka znajdując się wśród filmowych gangsterów — w istocie znajduje się między sportowcami, i to gronem wcale nie byle jak dobranym. Albowiem Ralph Habib rolę gangsterów obsadził... autentycznymi mistrzami „cath as cath cane". Występują więc kolejno: Stan Karoly (mistrz świata w wadze ciężkiej), Jacky Corn (mistrz Europy w wadze ciężkiej) Jean — Paul Faure (imiennik Sartre'a a zarazem mistrz Wysp Kanaryjskich w wadze średniej). Tę zajmującą listę uzupełnia Jean Pierre Darlo (mistrz XIII dzielnicy Paryża w wadze muszej). Teraz już wiemy, dlaczego słynna scena utarczki gangsterów wypadła w filmie Habiba tak przekonywająco.

METODY

Na zdjęciu Anouk Aimee, francuska aktorka filmowa młodego pokolenia.

Przypominamy, że 15 lipca mija termin nadsyłania odpowiedzi na konkurs „13 scenariuszy", ogłoszony w 16 i 17 numerze naszego tygodnika. Prosimy pamiętać, że oba te numery można jeszcze nabyć w kiosku „Ruchu" przy ulicy Piotrkowskiej nr 95.

EDWARD ETLER

UWAGA: BANAŁ!

Z polską kroniką filmową jest tak samo jak z plakatem. A jak jest z polskim plakatem, (w szczególności filmowym), to każdy doskonale wie. Nasze plakaty cieszą się dużym uznaniem za granicą i niemniejszą popularnością. Ale ich styl graficzny nie zmienia się od lat i coraz rzadziej napotykamy plakat zaskakujący nowym pomysłem kompozycyjnym czy literniczym. Natomiast coraz częściej zauważamy, że plakaty zaczynają się powtarzać, a obok prac utrzymanych mimo wszystko w granicach dobrego gustu — pojawiają się także zupełne nieporozumienia. Bywa, iż spotykamy plakat, wprawdzie ciekawy pod względem graficznym, ale nie mający za co nic wspólnego z treścią filmu, o którego pojawieniu się — donosi. Klasycznym przykładem jest w tym wypadku plakat Lenicy do filmu Felliniego pt. „Niebieski ptak".

Oczywiście wszystko można tłumaczyć za pomocą cierpliwiej metafory. Nawet to, że plakatowy ptak-straszydło ma wyobrażać odtwórcę głównej roli, albo ideę obrazu. Przyznajemy jednak, że z samą zasadą skrótu plastycznego i uogólnienia dzieje się przy okazji nienajlepiej. Choćby dlatego, że masowy widz po obejrzeniu plakatu może się jedynie utwierdzić w przekonaniu, że „Niebieski ptak" to film oświatowy, traktujący o nadzwyczajnych zjawiskach ornitologii.

Dajmy jednak dla sprawiedliwości inny przykład. Myślę o (reprodukowanym obok) plakacie Wojciecha Fangora do filmu „Zbrodnia i kara". Jest to plakat z modnego ostatnio („Noce Cabirii!) cyklu, który polega na łączeniu akcentów graficznych i literniczych z fotografią. W wypadku plakatu Fangora, (przy całej prostocie założenia) mamy zarazem do czynienia z pomysłowością typu czysto graficznego, robiącą

odpowiednie wrażenie już na pierwszy rzut oka. O ile jednak dawne polskie plakaty filmowe, dzięki swoim walorom artystycznym, a nieraz i poetyce (np. plakat Tomaszewskiego do filmu „Pierwszy po bogu") stanowiły niejako gotowe eksponaty wystawowe, o tyle dzisiejsze plakaty mają najczęściej znaczenie jedynie doraźne.

Wspomniałem na wstępie, że można przeprowadzić analogię między sytuacją plakatu polskiego, a położeniem polskiej kroniki filmowej. Oto i ona: polska kronika cieszy się uznaniem w świecie i także, podobnie jak plakat — nie zmienia się a tylko kopiuje swoje dawne wzory. Wygląda to na absurd, bo jak wiadomo, kronika przestawiła się niedawno na dwa odrębne odcinki tygodniowe, przerzuciła wiadomości z zagranicy na początek i wprowadza system poszerzonych tematów. Są to zmiany pozorne, mające mało wspólnego z istotą rzeczy. Oczywiście poszerzenie kroniki do dwóch odcinków to nie lada osiągnięcie — ale przede wszystkim osiągnięcie produkcyjne a nie artystyczne. Kronika zachowała swoje na pewno dobre zainteresowanie tematyczne, ale coraz częściej gubi cechujący ją do niedawna rodzaj dowcipu.

Obecne usterki kroniki, to w pierwszym rzędzie komentarz, nadużywający banalnych zwrotów i utartych powiedzeń. Ale nie tylko komentarz. Jeszcze niedawno temu oglądany przez nas doroczny temat nr 1 — Wyścig Pokoju, tym razem pokazany był w sposób identyczny jak uprzednio. Na dobrą sprawę można było wmontować sceny z zeszłego roku, albo sprzed dwu, trzech lat, i nikt by tego nie zauważył. Rzecz jasna, nie jest to zarzut o najwyższym ciężarze gatunkowym. To tylko zwrócenie uwagi na niebezpieczeństwo banału.

Ze zdjęcia dalsze

Sylwetki MŁODYCH TWÓRCÓW